

Marek Koszur

TVSiódemka

internetowy miesięcznik
niesformatowany

01/2025 (001) Styczeń 2025
Szczecin i ŻMIŚĆ (& Mars)

Żeglowanie jest koniecznością

Żeglowanie to siła, to przemoc, to zmaganie się i przeciwstawianie, to nierzadko determinacja, a niekiedy nawet brak rozsądku w obronie naszych ideałów.

Koń, jaki jest, każdy widzi

historia nigdy nie będzie elementem promocji tego miasta.

Konkurs upiornie melancholijny...

cisza, jak po wybuchu niewybuchu.

Teatr niewidzialnych dzieci

w jakim celu oraz dlaczego w takim kształcie powstają pewne spektakle?

Cabaret

znów jedziesz po Teatrze Polskim, w zasadzie słusznie, ale to już trochę obsesyjne.

Zburzyć Filharmonię

zamiast wystrzelić w górę, oczarować ludzi wjeżdżających do miasta - poszliśmy w podziemie.

Spis treści:

Tawerna na pustyni

3

Żeglowanie jest koniecznością,
życie nie jest koniecznością

8

Zburzyć Filharmonię!
Odbudować filharmonię!

13

eXplozycja

17

Konkurs... upiornie
melancholijny

18

Ukryte znaczenia
Gazeta idealna

22

Koń, jaki jest, każdy widzi...

24

Perła w muzycznej koronie
Pomorza

31

Polityczny titanic

33

Teatr niewidzialnych dzieci

43

Nikt nas do siebie nie zbliży
bardziej niż... obcy człowiek

52

Raport Woźnego

57



Tawerna na pustyni

Oczywiście, jestem już tylko o krok od opcji atomowej. Tę zainicjowałyby szpetne słowa, jakich unikam od zawsze, ale obawiam się, że już wyczerpałem cały zasób cierpliwości i ufności w to, że **teraz wreszcie będzie normalnie**.

Otóż – nie będzie.

Poranne serwisy informacyjne dowodzą, że lecimy w dół. Poziom rozmontowania państwowego mechanizmu osiągnął pozycję: **demolka**. Po pokonaniu politycznego przeciwnika, zakuliśmy się w jego zbroję i odziedziczoną maczugą, pełną frazesów o społecznej sprawiedliwości – „naprawiamy” kraj, psując wszystko jeszcze bardziej. I tylko patrzeć, jak przegramy najbliższe, przyspieszone wybory. Dojdzie do zamiany miejsc, w wyniku czego oddamy zbroję i maczugę, wystawiając nasze wdzięczne tyły na porcję zasłużonego łomotu.

Dekadencja?

Nie. Czysty realizm. Powracający do politycznej aktywności były minister sprawiedliwości dał nam szóstego grudnia mikołajkowe zapewnienie: **dokładnie rozliczymy obecną władzę**.

I niestety – wierzę mu. Bo on to potrafi. Nie dość, że wszystkim „sprawiedliwym” jego sędziom śmieje się w nos, to po przejęciu władzy zaludni nimi cele więzienne, nie oglądając się na prawo i paragrafy. Po prostu – robi to.

A tymczasem, w stolicy północno-zachodniej prowincji, dalekiej i cichej, o której od dawna wie cały Internet i od lat obwieszcza miastu i światu, że „Szczecin nie istnieje!” – kwitnie feudalizm demokratyczny i nic nie wskazuje na to, aby halabardnicy namiestnika mogli poczuć głód, ziąb lub brak apanaży. Wszak wiernopoddańczo leżą u nóg... stołu demokracji. Jedyń ich troską jest utrzymywanie produkcji wazelinowej ambry na dobrym poziomie. A że z chłopów tych kaszaloty tęgie i przebiegłe – żadnemu z nich najmniejszy fiszbinowy kieł z podniebienia nie odpadnie.

Pomyślane genialnie... Uprawiane z wirtuozerią... Tuż przy bandzie i na samych felgach, ale ciągle na torze! Przy całkowitym wsparciu medialnym. Krytyka prasowa, jeśli już się zdarzy, drukowana jest pachnącą politurą.

A skoro o propagandowej politurze mowa...

Nasz region jawi mi się jako piękna podłoga! Równa, lśniąca, pełna refleksów, taka nieskazitelna! Pucowana, glancowana, polerowana przez sekretarzy stanu, posłów i liderów. Wypastowana głuchymi zachwytnymi, pochwałami, poklepywaniem po ramieniu. Ozdobiona ocenami złożonymi ze sloganów, banałów i komunałów.

Uchle.....

A co jest pod tą podłogą?

Co jakiś czas zdarza nam się wdepnąć w paskudztwo, które nieoczekiwanie ktoś podrzuci na tę podłogę. Na szczęście, fakt ten medialnie żyje co najwyżej kilka godzin. Nikt od tych prasowych sensacji nie ginie. Ludzie sobie pogadają, bohaterowie doniesień gazetowych pokażą focha („ręce precz od mojej rodziny”) i następnego dnia wszystko wróci do normy. Do ekscytujących doniesień o nowym przystanku tramwajowym, szybkim pociągu lub pięknej ścieżce rowerowej. Prokuratura i policja podrzuca newsy spod celi, bo tymi zagadnieniami przecież żywo interesują się ludzie. Co kilka dni – bomba: raport ze sto trzeciego kilometra budowy drogi szybkiego ruchu lub zapewnienie o przypuszczeniu domniemania, że przetarg na kładkę wygra jedna z trzech firm! Przecież to informacja o strategicznym znaczeniu! W żłobkach i przedszkolach poruszenie. Na szpitalnych salach chorzy dostaną dodatkową kroplówkę, a kluby emeryckie odśpiewają odę do młodości. Czy tego nikt nie widzi?

Współczesna prasa lokalna to opis świata tekturowego!

Nie dopuszczam do siebie myśli, aby któregoś dnia tego typu newsy zostały zastąpione solidną dziennikarską materią! O zgrozo, o zgrozo, o ach!



XIX wiek, Stettin w pełni wykorzystuje swoje położenie. Wyjście z Odry na Zalew a potem na otwarte morze stało się realną drogą wymiany dóbr a także prawdziwym oknem na świat. Obraz Ludwiga Augusta Mosta ukazuje miasto w roku 1847, widziane od strony nabrzeża stocznioowego. Fragment wystawy w Muzeum w Greifswaldzie, 2024.

W innym medium przeczytałem właśnie pełen cnotliwej egzaltacji tekst o Szczecinie jako mieście morskim. Tekst spóźniony o całą wieczność. Kto zatwierdza takie duby smalone? Ale obok - w kankanowym rytmie zapowiedź i zapewnienie, że jutrzejsza premiera w teatrze będzie fenomenalna i barwna, zaskakująca i niepowtarzalna, podobnej – nigdy jeszcze nie było! Ale po premierze nikt już nie napisze, że przedstawienie okazało się żenującą kląpą.

Słowami budujemy świat barwniejszy od wesołego miasteczka, okraszony zdjęciami podświetlonego kolorowymi lampkami „pięknego Szczecina”, miasta, które w normalny, szary dzień jawi się jako coraz bardziej zakorkowany ciąg wkurzonych aut, mknących ślimaczym tempem przez schizofreniczną Aleję Wojska Polskiego na jej odcinku spacerowym. Jedyny kawałek ulicy w Polsce, a może i na świecie, który ma swojego... dyrektora!

Tę wylizankę mógłbym rozbudowywać w nieskończoność. Szczecińska kultura, nauka, literatura, sfera intelektualna, duchowość, świadomość historyczna... Ile dziedzin życia praktycznie nie istnieje w prasowych materiałach krytycznych, recenzenckich, publicystycznych, analitycznych. Wszystko jest, jeśli nie fantastyczne to przynajmniej fenomenalne, zjawiskowe, niepowtarzalne, unikatowe, niezapomniane. Ale nic lub prawie nic nie jest też sygnowane podpisem: to jest marka Szczecina, to „coś” powstało tutaj. I teraz to coś zadziwi świat. Nie, bo my jesteśmy jak gęsi, łykamy wszystko, co nam do michy wrzucą. Naszej. Dla nas. My. My się liczymy. Nikt inny. Reszta nas nie obchodzi.

Wyjątkiem jest akcja „Zrobione w Szczecinie”, wyczulona na indywidualne, oryginalne inicjatywy.

Jesteśmy konsumentami atrakcyjnych, objazdowych propozycji sieciowych. Wykupujemy bilety na wszystko co się da, potwierdzając organizatorom występ(k)ów kulturalnych, że robią dobrą robotę. Sale i widownie są przecież pełne. A byłyby jeszcze bardziej napakowane, gdyby np. któreś szczecińskie kino było w stanie podołać technicznym wymaganiom, jakie stawiają transmisje z Metropolitan Opera.

My w tym czasie – jakie to swojskie – emocjonujemy się kolejną edycją plebiscytu „Bursztynowy pierścień”. I za spektakl roku uznajemy podskakiwanke, której od nas nikt „nie kupi”, bo sam robi swoją, w równie miernym stylu. Może dlatego nie mamy transmisji z MET bo wtedy jeszcze lepiej widzielibyśmy naszą wybitnie artystyczną siermiężność?

Ten sam los spotkał nagrodę „Dziennikarz Roku”. Formuły zdegenerowane. Wszyscy dostawali wyróżnienia po kilka razy w ciągu trzydziestu lat funkcjonowania konkursów. Co jakiś czas dodawano kategorie, bo trudno byłoby dać wyróżnienie w tej, w której już raz ktoś został wyróżniony. Dziennikarz roku w Szczecinie, ale NN dla reszty świata. Podobnie jest z najlepszym spektaklem czy aktorem. Z kim ma konkurować opera? Z Lidlem? A Teatr „Pleciuga”? Ze stoczną remontową? Centrum Dialogu Przełomy szczyści się ilością gości. Podobnie naukowy blaszak nadodrzański. 300 tysięcy! W tym nawet ministrowie od nauki, którzy w tych dniach nieźle się ubawili przy stanowiskach zręcznościowych. Podobno nauczycieli się też tego i owego, a jakże. Na marginesie - panie ministrze, pamięta pan, ile zapłacił za bilet wstępu do tego



Wały Chrobrego

Rzadkiej urody ujęcie reprezentacyjnej części miasta, chciałoby się powiedzieć - wyrosłego z uprawy morza. Widać potęgę i siłę kapitału. Każdy, kto wpływał do Stettina wiedział, że to ośrodek ważny i prestiżowy. Idealnie i monumentalnie skomponowane Hakenterrasse to rozwiązanie klasy berlińskiej, paryskiej czy londyńskiej. Uważam, że trzeba wrócić do nazwy pierwotnej. Jaki związek ma to miejsce z Bolesławem Chrobrym? Nieporozumienie. To tak, jakby kota nazywać kanarkiem.

przybytku? O, nie płacił pan? A szczecinianie płacą. Bo wiedza kosztuje, wie pan? No ale pan ją ma, więc sprawa jasna.

Szczeciński „Trubadur”? Na trzeźwo nie da się przeczytać mądrości wypisanych w Internecie przez realizatorów, którzy bardziej niż cały świat, z Giuseppe Verdim na czele, tak naprawdę nie wiedzą dokładnie, o co w tej operze idzie? Dzieło wystawialiśmy w Szczecinie w latach 90. Ale z jakim rozmachem, z wykorzystaniem wszystkich zamkowych krużganków, reflektorów wojskowych, przestawianiem widowni do każdego aktu w inną stronę dziedzińca, z transmisją telewizyjną. Ogólnopolską! A jacy byli tu wtedy wykonawcy! O „Carmen” na tym samym zamkowym dziedzińcu nie wspomnę. Z tamtymi inscenizacjami chce się dzisiejsze wystawienie równać? Tamto - było rutyną. Dzisiejsze jest – arcydziełem... Albo autorska wizja „Don Kichota”. Autorska, czyli jaka? Zbudowana na wieloletnim dorobku, doświadczeniu, uznaniu światowym? Nie, przygotowana przez nowicjuszkę. Dostojne jury bursztynowe wybrało więc „Orfeusza w piekle”, a powinno, moim zdaniem zagłosować za „Dyrektorem na Marsie”.

Lista jest nieskończenie długa.... Wskrzeszony Kontrapunkt, który dzięki technikom znanym lalkarzom, markował teatralne ożywienie. Albo pomysł poświęcenia kończącego się roku człowiekowi, który – jak obwieszczał jeden z portali: **wytyczył drogę** swoim następcom od **prowincjonalnego garnizonowego miasta do prężnej, europejskiej metropolii**. Proszę to zdanie przeczytać jeszcze raz. Mocne, prawda?

Wreszcie – osiągnięcie największe - skasowany dwudziestoletni festiwal Sacrum Non Profanum.

Powód do dumy! Takich mamy lokalnych hydraulików kultury. Spławią wszystko i każdego, poza ideą koncertu na oddalonym od miasta o sto kilometrów pieszo-rowerowym moście w Siekierkach. Trwa intensywne dochodzenie w sprawie ujawnienia pomysłodawcy tego eventu. Zbiorowo, ustami rzeczniczki Regionu, swój autorytet w tej sprawie kładzie na szali Zarząd Województwa jako pomysłodawca koncertu. Podszepcy sugerują, że inicjatywa wyszła z międzynarodowego „związku” artystycznego, polsko-niemieckiego. W korespondencji do naszej redakcji rzeczniczka Regionu potwierdza udział czynnika zagranicznego na koncercie. Zapisalo się 15 Niemców! Szesnasty całość muzycznie poprowadził! Ptactwo tamtejszego rezerwatu, skupione na problemach lęgowych, popadło w stres, bo zrozumiało, że nie byłoby w stanie przekrzyczeć śpiewaczki – nie wiem, jak to napisać – atrakcji tego koncertu? Artystka miała sprawić, że do Siekierek ruszą karawany rowerzystów? Wszak taki był cel promocji żelaznego mostu. Kilka autokarów zwiozło za darmo na ten koncert dwie, trzy setki emerytów. Dlaczego nie przyjechali oni ze Szczecina na rowerach? Gazeta dała wyraźne wskazówki: co i jak? Z mediów wynika jednak, że imprezę i koncert wymyślił marszałek Olgierd Geblewicz. No bo kto, jak nie on? Służby prasowe marszałka nie chcą podać mi innego nazwiska, a tego – nie potwierdzają, ale we wszystkich reklamach koncertu - tekst zaczyna się od godności pana marszałka. On ma zaszczyt, on zaprasza... **Temat do następnego numeru naszej gazety.**

Impreza kosztowała podobno ponad 200 tysięcy złotych.

Do prężnej europejskiej metropolii...

Kończy się zatem rok poświęcony człowiekowi, który ponawiam cytat: **wytyczył drogę** swoim następcom od **prowincjonalnego garnizonowego miasta do prężnej, europejskiej metropolii**. Ta metropolia to Szczecin?

Nasz człowiek. Przedsiębiorca indywidualny ze Szczecina, uzdolniony artystycznie i kulinarnie. Wygumkować trzeba zatem postaci tak nieznaczące jak prof. Jan Szyrocki, dyr. Ryszard Karger, dyr. Henryk Jendza, profesorowie i inżynierowie Eugeniusz Skrzymowski, Wojciech Chądzyński, Ryszard Kukliński... Kilkaset osobistości w cieniu bębniasty? O Marianie Jurczyk czy Piotrze Zarembie nie wspomnę. **To kolejny temat, który czeka na ostro zatemperowane pióro.**

Ostatnio wstrząsnął niektórymi z nas bezprzykładny i wręcz arogancki sposób potraktowania Muzeum Narodowego. Nowy dyrektor – i to się tylko liczy – ma być „naszym” człowiekiem, oczywiście wyłonionym w konkursie. Nie musi być muzealnikiem, historykiem sztuki, archeologiem. Motorniczy tramwaju nie kończył filozofii, a jak pięknie się spisuje na swoim odpowiedzialnym stanowisku, prawda? I odpowiada za życie tylu ludzi! A muzeum to ważna placówka. Dostojna. Na jej czele potrzebny jest sformatowany urzędnik, który nie wpadnie na żaden oryginalny (o zgrozo!) pomysł.

Sprawa Teatru Współczesnego. Po co nam ten teatr? W takim samym stopniu pytam o misję Teatru Polskiego? O politykę kulturalną regionu. Ale nowy teatr, w formie nadbudowanej przybudówki do dobudówki już powstaje na deskach projektantów. Kto ma kasę, ten decyduje. **To jest chuligaństwo polityczne.** Tak działać nie można.

Teatr – jeśli jest potrzebny – to na prawobrzeżu. To pustynia i ugor. Hallo! Proszę wejść na wieżę Urzędu Wojewódzkiego i rozejrzeć się wokół. Szczecin to nie tylko trójkąt między trzema urzędami. Tak, w pewnym sensie jest to trójkąt, żaluję, niestety - nie bermudzki.

A wszystkiemu winna jest prasa

Media szczecińskie są tak beznamytnie bezkrytyczne i zarazem płaskie, jak wspomniana podłoga.

Jeśli co jakiś czas zdarzy się materiał – jak ostatnio – opracowany przez autorkę z Poznania, powołującą się na doniesienia Wirtualnej Polski - to po kilku godzinach rozbuchanej dyskusji czytelników – nie dziennikarzy, bo takich już w Szczecinie nie ma - o chwalebnyim zadbanie rektora i ministra o dobrostan żon obu dżentelmenów – to... to niczego owa debata nie zmienia. Ale udowodni, że żyjemy w demokracji i każdy swoje powiedzieć może. A jak powie – to zabieg terapeutyczny się skończy i wrócimy do doniesień o rowerowych ścieżkach, przetargach na tramwaje, do ulubieńców Gazety, którzy mają rozbudowane kontakty z prokuraturą. O nikim Wyborcza w Szczecinie nie pisze tak często, jak o ludziach skonfliktowanych z prawem. Nic nas, **czytelników, właścicieli tej gazety**, nie interesuje bardziej niż te kwestie? Tylko patrzeć, jak w gazecie pojawiają się reklamy: ekskluzywne cele, atrakcyjne lokalizacje więzienne, bogate wyposażenie - tylko w floating garden! Inwestuj w swoją przyszłość, już dziś zadbaj o wygodną celę! Dorzuciłbym do tych anonsów jakiś patronat prasowy lub samorządowy. Oczywiście – honorowy.

Odnutowujemy każdą słuczkę. Oddajemy salwę na cześć nowego kongresu morskiego, w którego towarzyską stronę nie wątpię, ale nie widzę w tym pomysłcie ani jednego „produktu”, konkretnie, decyzji, posunięcia etc. **Bo nie ma w Polsce polityki morskiej.** Nie wiemy, co chcemy, poza tym, że chcemy dużo, dobrze i tanio. To nie my decydujemy, jak się nasza morskość rozwija. My się zgadzamy lub nie na dzierżawę gruntów, zezwolenie na budowę nabrzeża etc. Godzimy się, aby - za opłatę - inni robili tu swoją politykę morską. Chcieliśmy mieć własne kolonie. Dziś stajemy się kolonią przedsiębiorczych ludzi ze świata.

Edukacja, promocja indywidualności, kształcenie ustawiczne – zastępujemy doniesieniami o aquaparku, sezonowym lodowisku. To wszystko jest bardzo potrzebne, ale czy nie równie ważna jest debata o poziomie muzycznych propozycji filharmonii?

Brak nam prasy, która w sposób leninowski, rewolucyjny i pryncypialny pod codzienny pręgierz społecznego osądu stawiałaby posunięcia władzy, która tak nas zapewniała, takie gwarancje dawała, że teraz to już wszystko będzie takie jak w raju, którego – tak na marginesie – nikt z nas nigdy nie widział. Poza władzą, która w jego ziemskim oddziale spędza całą kadencję.

Raj

Dokładnie półtora roku temu, po rocznej dokumentacji, przedłożyłem Jerzemu Połowniakowi, kierującemu szczecińską Wyborczą eksplikację cyklu materiałów o kierunku dziennikarstwa w Uniwersytecie Szczecińskim, z szczególnym podkreśleniem funkcjonowania Centrum Edukacji Medialnej.

- Nie pozwolę, abyś skłócił mnie z całym środowiskiem.

Z całym, bo kilka dni wcześniej Jerzy Połowniak, nie kryjąc pochwał, zadowolenia z faktu, że wniosłem bardzo wiele dobrego do gazety napisał do mnie – „bardzo dobry felieton”, po czym materiał dotyczący Politechniki Morskiej umieścił w wydaniu internetowym i papierowym gazety. Dwa teksty na temat tej uczelni ledwie dotknęły problemów, jakie już nie półgłosem, ale okrzykami zgłaszali ludzie z morskiego środowiska miasta. Uczelnia zareagowała żądaniem sprostowania trzech podanych przeze mnie faktów. Przekazałem do redakcji dodatkowe, bardzo udokumentowane potwierdzenie podanych przeze mnie informacji (wróć do sprawy). Sprostowanie zostało odrzucone, ale Jerzy Połowniak przerwał publikację kolejnych odcinków o Politechnice Morskiej stwierdzając 2 lutego 2024:

- Nie będzie też raczej dalszego ciągu Politechniki Morskiej, bo to Twoja, a nie moja wojna.

Do dziś nie mogę wyjść z osłupienia tą argumentacją. Jaka wojna? Profesjonalne dziennikarstwo porównujesz do jakiejś bijatyki?

Po lekturze tekstu o sytuacji w Teatrze Polskim, po przesłanej do redakcji recenzji spektaklu „Cabaret”, Jerzy Połowniak napisał do mnie:

- „Cabaret - znów jedziesz po Teatrze Polskim, w zasadzie słusznie, ale to już trochę obsesyjne”.

I tekstu nie opublikował.

Wcześniej zapytał o to, jak po wcześniejszej, krytycznej recenzji, teraz wyglądają relacje z dyr. Opatowiczem z Teatru Polskiego? Normalnie, odpowiedziałem. Obaj jesteśmy profesjonalistami. Krytykę prasową rozumiemy i uznajemy za element zdrowych, właściwych relacji. Cała sztuka, by pozostawać w sferze ocen wyłącznie merytorycznych. Poza pracą, jesteśmy bardzo dobrymi znajomymi. Od ponad 35 lat! Jeden drugiemu nie pozwoli wyrządzić krzywdy. Zawodowcy!

Inny materiał, jakże politycznie, obyczajowo, artystycznie istotny – recenzję spektaklu „Gość-inność” Jerzy Połowniak potraktował stwierdzeniem: „do rozważenia, w kolejce”. I nie opublikował. A wokół nas trwała wielka migracja ukraińska, łódzie lądowały u brzegów Południowej Europy, przez granice w Lubieszynie przedzierali się uchodźcy.

- Materiał ze spektaklu o Korze mógłby mnie zainteresować – dodał.

- Ale mnie nie – odpowiedziałem.

I nie napisałem.

„Gość-inność” to najwyższy poziom artystycznej wrażliwości, na jaki zdobyliśmy się po inwazji Rosji na Ukrainę. Ale teatr ukrywał ten spektakl po kątach planów repertuarowych. Recenzję znajdą Państwo w tym numerze naszej gazety.

W ostatnich dniach jakby duch święty zstąpił do redakcji Wyborczej? Parkingowe miejsca przy Teatrze Polskim, umowa z sprzedawcą samochodów, który miał wesprzeć świat sztuki podstawieniem aut dla pracowników teatru. Ale nie sądzę, żeby autami jeździły garderobiane czy maszyniści, ustawiający scenografię. Szóstego grudnia – tekst o wspomnianym wyżej Centrum Edukacji Medialnej Uniwersytetu. To dopiero jest temat! Zaczęłbym od podania kwoty – ile nas ta zabawka w uniwersytecką telewizję kosztowała? Teczka materiałów jakie na ten temat zebrałem – puchnie! I wybuchnie.

Szczecińska Wyborcza najchętniej waliłaby cepem w pisowskie truchło. Stąd tyle materiałów o byłym szefie szczecińskiego radia, który nigdy nie powinien mieć nic wspólnego z mediami. Pałowanie tego nieszczęśnika miało być dowodem na niezłomność w obronie interesu obecnej demokracji, która - jak coraz bardziej to widać - nie tylko w niczym nie jest gorsza od demokracji minionej, to swoich poprzedników w pazerności nawet dystansuje. Dlaczego przekształcono Akademię Morską w Politechnikę? Bo ta druga forma ma wyższe subwencje. Ale o tym nikt nie napisze. Przepraszam, my napiszemy.

Co robimy?

Ogrom nieprawidłowości jest tak duży, że należałoby powołać do życia codzienną Gazetę Krytyczną. A i to musiałaby mieć dodatkowe, weekendowe wydanie na tematy specjalne, zagrożone karą pozbawienia wolności od lat stu wzwyż.

Albo my cały ten, niestety, już „nasz” bałagan natychmiast posprzątam, albo jeszcze przed upływem kadencji – zrobią to za nas niemiękiszony.

p.s. I kiedy już ten tekst wysyłałem do redakcji – przeczytałem na stronie wszczecinie.pl informację: Uniwersytet Szczeciński ogłosił, że za 61,5 mln. zł sprzedaje działkę, którą otrzymał nieodpłatnie!!! Sprzedaje coś, co dostał za darmo.

W biały dzień, tuż przed świętami, demokratycznie, prosto nam wszystkim w nos – pan rektor odpala kolejną racę. I co? I nic. Na Wzgórzach Warszawskich pewnie powstanie piękne osiedle mieszkaniowe. W tym czasie, za uzyskane środki można będzie np. otworzyć kolejnych tysięcy kierunków, nominować tysięcy profesorów, kupić tysięcy biurek i foteli, może nawet pozyskać dziesięciu studentów na nikomu niepotrzebne studia. Na przykład - dziennikarskie.

Jeżeli szczecińskie media nie zewrą szyków – nic nie powstrzyma rektorów, dziekanów, marszałków i prezydentów przed stawianiem naszego świata na głowie.

Gdy na początku lat 90. ważyły się losy Głosu Szczecińskiego, a było to wtedy, kiedy Jurek Sawka, naczelny Wyborczej złamał nogę, to jako dyrektor programowy tv i szef Korporacji Twórców, Artystów i Dziennikarzy, zwołałem w jego gabinecie zebranie wszystkich naczelnych ze szczecińskich mediów. Czy kiedykolwiek wcześniej lub później media szczecińskie podjęły akcję w obronie - wtedy niezależności lokalnej prasy - a teraz odzyskania przez nią siły rażenia wobec arogancji, nonszalancji, nepotyzmu i bardzo źle pojętej niezależności przedstawicieli organów rządowych, samorządowych, miejskich, uczelnianych, spółek Skarbu Państwa i prywatnych? **Nie wiem.**

Bez takiego sojuszu, **za chwilę pojawi się zjednoczona prasa, której próbkę niedawno mieliśmy. Wzmocni ją „zacementowany” Polsat i TVN. To posunięcie obecnego rządu, tamta strona wykorzysta, gdy wróci do władzy. A, że wróci - to pewne. Zyska arsenał propagandowy o niespotykanej sile rażenia.** A my, w tawernie na środku pustyni czekać będziemy na kelnera, który zamiast *whisky on the rocks* przyniesie nam wiaderka i łopatki.



Prawie rok wisiały w mieście i regionie plakaty wyborcze. Wiele z nich do dziś „straszy” nas osiągniętym sukcesem. Dowód, jak wiele nośników reklamy jest zbędnych, wykorzystywanych okazjonalnie. Ale wszystkim się to opłaca. Tylko my, mieszkańcy skazani jesteśmy na życie w mieście, które jak obiekt o znaczeniu militarnym, zamaskowane jest nośnikami reklam. Zburzyć te nośniki, odsłonić niebo i zieleni nad maistem!

Nigdy nie zgłoszę na polityka, który nie szanuje swojego wizerunku i pozwala, by strzępy papieru chłastały w jego fizis.

Żeglowanie jest koniecznością, życie nie jest koniecznością

Mówi się: iść przez życie, u kresu drogi życia, życiowe kierunkowskazy, trudna, łatwa droga życia. Iść...

Ale jestem pewny, że zanim wynaleźliśmy koło, to człowiek usiadł na dryfującej rzeką konar i... zrozumiał, że *navigare* jest najlepszą i rewolucyjną wprost metodą poznawania świata, tworzenia jego i własnej zasobności poprzez wymianę dóbr, mieszanie się kultur, obyczajów, a wreszcie budowania potęgi państw, podporządkowywania sobie innych. Kto panował na morzu, panował nad światem. Udało się to w pełni tylko Rzymianom, którzy o Morzu Śródziemnym mogli mówić *mare nostrum*.

Kiedy człowiek wszystko to osiągnął, zrozumiał, że cel był złudny, bo racjonalny i policzalny. Nie wykraczał poza doczesność i był jak życie – nietrwały. Natomiast skutki kulturowe i cywilizacyjne, jakie żeglowanie pozostawiło w naszych

genach to podglebie (o! kolejny przykład jednak lądowego charakteru naszej mowy) dla obecnego kształtu i rozedrgania świata.

Żeglowanie w swojej nieustannej aktywności jest... niczym bez przerwy obradująca konstytuanta, opisująca warunki gospodarczej równowagi świata.

Morze ciągle jest najlepszym i najtańszym sposobem transportu. Pewnikiem i wartością nad złoto stabilniejszym. Wyznacza cele, zasady i opisuje konsekwencje wobec tych, którzy morskemu porządkowi świata się nie podporządkują.



Fot: Jerzy Koszur, przełom lat 50. i 60. XX wieku, podzamecze z widokiem ruin Baszty Siedmiu Płasczy (Baszta Panieńska), zrekonstruowanej w 1964 roku. Jaki jest ten świat, do którego płyną i wracają te wszystkie statki?

Żeglowanie to siła, to przemoc, to zmaganie się i przeciwstawianie, to nierzadko determinacja, a niekiedy nawet brak rozsądku w obronie naszych ideałów. Towarzyszące nawigacji namiętności i niezaspokajalna chęć przewycięzania słabości, brukowały meandry społecznego rozwoju świata.

Hm... I kogóż zajmować dziś może rozważanie tych kwestii? Do czego byłoby przydatne roztrząsanie minionego? Wszak każdy dzień przynosi nowe wyzwania. To prawda, tkwimy w nich jak w ruchomych piaskach. Każdy nowy ruch powoduje, że szansa na wyjście z opresji maleje bezpowrotnie. Ale nam się uda, coś wymyślimy! My! My... jacy żałośni...

Sztuka nawigacji jest jedynym skutecznym sposobem, aby na burtach i dziobie naszej psychiki nieść jak najmniej rys, pęknięć, szczelin i wyrw. Bo każda z nich oznacza zazwyczaj niepotrzebny konflikt. Powstają one ze zderzenia z ludźmi równie jak my – zagubionymi, którzy podobnie jak my – w porze życiowego zmierzchu, okaleczeni – siadają przed świtem w fotelu, by rozpocząć kolejny seans, a ten potrwa do następnego brzasku. To – **seans rozpamiętywania**. Analizowania przegranych partii i rozgrywek.

Bołą kontuzję, a wrzawa wywołana sukcesami, już dawno wybrzmiała

Czy bilans tych reminiscencji winien dążyć do pełnej kompensaty? Nie wiem. Nie ma to dla mnie znaczenia. Tak jak pozbawionymi sensu są dywagacje: a co by było, gdybym postąpił inaczej...?

Gdybym postąpił inaczej, scenariusz reszty życia potoczyłby się według zupełnie innego planu. Nie wiem, czy lepszego, gorszego, ciekawszego? Pewne jest jedno: równie nieprzewidywalnego.

Literaci i filmowcy często podejmują te kwestie. „Rozdzielenie”, „Westworld” czy ostatnio opowieść o doktorze Adamie Solisie, który szuka najlepszego wariantu swojego życia. Dzięki specjalnej tabletce i kabinie – przeżywa różne warianty, możliwe, hipotetyczne, oczekiwane, nieprzewidziane – słowem: wszystkie prawdopodobne scenariusze swojego życia. Na tej drodze spotyka... samego siebie. I rozpoczyna się konfrontacja...

W tych kreacjach brak mi jednej, absolutnie fundamentalnej kwestii – **odpowiedzialności za nasze czyny**. Bohaterowie opowieści są zapatrzeni tylko w swoje cele. Jeśli nawet dostrzegają negatywne skutki własnego postępowania wobec innych, to ta konstatacja nie wywołuje szczególnego zainteresowania scenarzystów. Bo liczę się ja, mój bohater, moja wizja.

Nie inaczej jest w życiu

Można jego najbardziej treściwą część, w którą inny ktoś wierzył i jej się poddawał, uznać za mydlaną bańkę. Bang!!! I 35 lat życia można wysadzić w powietrze bezgłośnie, nie powodując żadnych (dla siebie) widocznych skutków. A co zostawiamy za sobą? Phi...

Im większe (twoje) zwycięstwo, tym bardziej bolesna (moja) klęska. A mogło być odwrotnie. Tyle, że ty nigdy nie pomyślisz, dlaczego tak łatwo wygrałeś/aś... Bo ja ci na to pozwoliłem. Jeszcze raz przejąłem na siebie gorycz niepowodzenia. Odsunąłem od ciebie smak przegranej.

Tymi aspektami życia nie zajmuje się już poezja, literatura, nie sięga po nie film, dziś najbardziej powszechny trybun i kreator schematów postępowania. Bazujący na scenariuszach gier komputerowych. *Game over?* Nie, mam przecież *new life!* Gra. Liczy się gra.

Oto stary człowiek, który całe życie obiecywał żonie, że pojedzie z nią na drugi koniec kraju wie, że słowa musi dotrzymać. Rusza w podróż z... urną, zawierającą pamięć o kobiecie, której przysiągł spełnić jej marzenie.

Cóż za nierealna opowieść... Ramota...

Świat mieć na własność

O czym myśli ten chłopiec ze zdjęcia z następnej strony, wpatrzony w globus, który właśnie dostał w urodzinowym prezencie? Dostał cały świat na własność, trzyma go w dłoniach! O czym więc myśli? Że taki ci on jest, ten świat – jak barwna piłka? Zabawka? Czy o tym samym myślał inny chłopiec, stojący na wzniesieniu przy Wałach Chrobrego, z Basztą Siedmiu Płaszczy niemal całkowicie zniszczoną? Obaj uświadamiają sobie, jeszcze mgliście, że są obywatelami świata, wzrok mają skierowany w tę samą stronę, w którą zmierzają ich stopy i wysuwają się dłonie. Żeby brać. Żeby też dawać? I trzecie zdjęcie – z następnej strony - chłopiec w morskiej szalupie, w dziobowej jej części, na „oku”, bo stamtąd najszybciej wypatrzeć można nowe lądy... Na tych fotografiach pojawia się przecież ten motyw tak dobrze znany z obrazu Caspara Davida Friedricha, urodzonego przed 250 laty w nieodległym Greifswaldzie.

Malarz, grafik i rysownik, odegrał fundamentalną rolę w definiowaniu romantycznych ideałów, które od tylu lat są wyznacznikiem obecnego etapu naszego cywilizacyjnego (nie)rozwoju.



Fot. Marek Koszur

Młodzieńcy, wędrowcy zapatrzeni w morze mgły?

Podczas październikowego Tygodnia Reformacji w Szczecinie, poświęconego 900 rocznicy misji św. Ottona z Bambergu na Pomorze, jedna z jego szacownych uczestniczek, pani prof. Małgorzata Grzywacz wygłosiła pogląd, a wręcz oskarżenie pod adresem niemieckich mieszkańców Pomorza.

- Świętym Ottonem nikt się prawie nie przejął, także władze kościelne. Niemcy po swojej stronie obchodzili z pompą i hukiem 250 lecie twórczości pana Davida Friedricha. Bardzo dobrego malarza. Nikt nie wie do końca, dlaczego tak popularnego, ale jednak popularnego.

Chwilę później pani profesor opowiedziała o zdziwieniu obecnego biskupa Bambergu, który widząc polską młodzież nie krył zaskoczenia, że postać Ottona jest im znana.

Na komentarz cytowanych wypowiedzi mam nadzieję znaleźć miejsce w kolejnym numerze naszego pisma. Tu wyrażę jedynie ogromne zakłopotanie (bez epitetów) postawą pani profesor, jak i wcześniejszymi Dniami Bonhoefferowskimi czy ostatnim Tygodniem Reformacji. Te wydarzenia, intelektualnie i duchowo – wydawać by się mogło – **najbardziej interesujące w całym kulturowym roku Pomorza**, spoglądające ponad wszelkie morza mgieł pośród duchowej pustki – zawiodły w całości i bez reszty. Chałtura – to komplement w ich stronę, najdelikatniejszy.

Przekonani przekonywali przekonanych, że ich przekonania są trwałe i niezmiennie

Proszę się nie unosić, proszę na chłodno rozważyć Państwa metodę: sami, sobie, dla siebie. A że udało się na obie imprezy „doprowadzić” młodzież szkolną, to efektem pozytywnym owego posunięcia był fakt, że w salach wykładowych poprawiła się akustyka. Bez młodzieży, cisza i pustka dudniłaby dobitniej bezzębnym echem.

Takie imprezy to okazja do dodatkowych honorariów i – powtórzę – zapewnianie przekonanych przez innych przekonanych, że nasze wspólne przekonania są trwałe i niezmiennie. Oddziaływanie tych wydarzeń, którym z nazwiska i imienia honorowo patronuje urzędnik, głównie znany z patronowania, jest nawet nie śladowe. Kilkadziesiąt osób, dobrze – kilkaset – wobec półmilionowego miasta, o kraju – nie wspomnę. Wydarzenie, jak rozbiłec na środku oceanu.

- Nic nam się nie udało tak bardzo, jak wskrzeszanie pamięci o pastorze Bonhoefferze. Dlaczego? – zapytałem retorycznie twórcę tego ruchu na Pomorzu, pastora Piotra Gasia. którego idee wspierali także niemieccy luteranie.

Innym, wybranym intelektualistom bonhoefferowym przekazywałem bardziej szczegółowe pytania. Wszystkie sprowadzają się do jednego: dlaczego nieustannie przywołujemy pamięć: o człowieku ważnym i odważnym, podczas gdy sami w sobie nie mamy żadnej odwagi, by z wielkością tego człowieka się mierzyć?

Chciałbym zobaczyć pastora Bonhoeffera, słuchającego tych mądrości na jego temat. Zróbmy w naszym życiu coś na miarę Jego wielkości i odwagi albo... dajmy pokój temu Człowiekowi.

Pastor z Warszawy obiecał odpowiedzieć. Po kilku miesiącach od zaproszenia do rozmowy - przegadaliśmy nawet dobrą godzinę telefonicznie uzgadniając zakres wypowiedzi lub wywiadu. I co? I nic. Ale nowe wydarzenia związane z chrześcijaństwem, reformacją, Bonhoefferem już się kreślą, rysują, przynosząc zapowiedź „dorodnych plonów”, ale niekoniecznie duchowych. O tych pierwszych zapewniał mnie w mailu dobrze czujący się w szczecińskim środowisku sacrum i profanum, ojciec Tomasz Dostatni, gdy poprosiłem o podsumowanie Dni Bonhoefferowskich. Niestety, był już zajęty przygotowaniami do następnych wydarzeń związanych z pastorem i innymi pracami. Reszta uczestników – prelegentów – nie odpowiedziała na maile. Ktoś podobno coś opublikował. Szukałem po wskazanych nazwiskach, ale bezskutecznie. Znalazłem jeden materiał pastora Sławomira Sikory na portalu płatnym. Czy takie portale najlepiej służą powszechnej popularyzacji naszego bohatera? Nie wiem.



Caspar David Friedrich, *Wędrowiec nad morzem mgły*, 1818.

Celem Dni i Tygodnia było propagowanie, upowszechnianie, popularyzowanie, uświadamianie, podkreślanie, ...anie, ...anie, ...nie, ...e... I za rok będzie podobnie.



Fot: Jerzy Koszur - Plac zabaw w miejscu po uprzątniętych gruzach dawnego Teatru Miejskiego. Dziś Plac Solidarności.



Eduard Krause-Wichmann, *Widok na Rynek Sienny z ratuszem, początek XX wieku*. Olej, płótno. Własność prywatna. Obraz prezentowany na tegorocznej wystawie „Szczecin w malarstwie przełomu XIX i XX wieku. Ze zbiorów kolekcjonerów szczecińskich. 26.04 - 04.08.2024. Wystawa będzie jednym z tematów kolejnego numeru naszego pisma.

Zapytam wprost - czy ktoś potrafi ocenić wpływ tych szczecińskich inicjatyw na półmilionowe miasto, na cały kraj, na pół Europy i choćby tylko kawałek świata?

Pastor Bonhoeffer był człowiekiem stąd. Był bohaterem. A odmówiono mu nazwy uliczki czy ronda w okolicy seminarium, które w latach wojny zbudował. Za to szerokim gestem opłaciliśmy spektakl (może wstawię ten wyraz w cudzysłów?), który był największą atrakcją dni bonhoefferowskich w Teatrze Polskim, opowiadający o człowieku zagubionym wśród jego bogów. Śledziłem losy bohatera monodramu w rzędzie pełnym zakonnic i świeżo nominowanych sterników nawy regionu. Spektakl zawierał pikantne szczegóły o tym, jak proboszcz „puka” gospodynię w domu parafialnym. Pośmialiśmy się, pastora Bonhoeffer, a pan nie? Przecież to takie niewinne, życiowe, ba – ludzkie, nieprawdaż? Czołowy szczeciński ekumenista wiódł uczoną dysputę z autorem scenariusza, nie wspominając nawet o tych wątkach, które jak się kilka dni temu okazało – były w sumie niewinnym żartem w dorobku tego autora, który napisał scenariusz monodramu o pewnym niedźwiadku i polskich żołnierzach w okresie drugiej wojny światowej. Zgroza! Cenzuro – wróć!

Byłem wściekły! A publiczność wstała z miejsc i burzliwie oklaskiwała swoją głupotę

Szczecin – pewnie nie inaczej jest w innych miastach – staje się zlewnią kompromitujących wydarzeń, finansowanych i odbywających się pod honorowym patronatem z imienia i nazwiska sterników naszej trawy.

Caspar David Friedrich i jego słynny „Wędrowiec nad morzem mgły”, czyż nie symbolizuje tej czystej wiary w świat oglądany przez chłopca z globusem oraz chłopca na wzniesieniu Wałów Chrobrego lub tego w szalupie na placu zabaw? Są pełni obawy, ale przecież otwarci na świat? Patrzą i widzą go w tym momencie swojego życia oczami dorosłych. A te mówią chłopcom, że przyszłość będzie piękna, zasobna, o wiele bogatsza od obecnej.

Czy friedrichowski wędrowiec był marzycielem? Według mnie – bez wątpienia jednym z największych. Był człowiekiem sekularyzacji. A przynajmniej sakralizowania świata doczesnego, przyrody, natury. Friedrich to, co kiedyś było zarezerwowane dla sfery sakralnej, odnajduje wokół siebie.

Ludzie młodzi chcą swoje niebo widzieć dziś w otaczającym ich świecie

Dlatego Friedrich będzie im bliższy od Ottona.

I nie wiem, czy nie warto byłoby zakasać profesorskie rękawy i podjąć wysiłki, aby Ottona zbliżyć do młodych, co przede wszystkim jemu – Ottonowi – wyszłoby na dobre.

Żeglowanie, nawigacja są naszą szansą. Wspólne. W załodze, z jasno wytyczonym celem. I życzeniem sprzyjającego wiatru.

Zburzyć Filharmonię! Odbudować filharmonię!

Zamiast wystrzelić w górę, oczarować ludzi wjeżdżających do miasta - poszliśmy w podziemie.

Drzwi do miasta. To szalenie ważny temat. Zawstydzający brakiem odwagi, ale trzeba wreszcie zająć się rozwiązaniem tej kwestii.

Kiedyś witał przybysza oryginalny maszt ze statku (Maszt Maciejewicza), teraz - ustawiony tyłem do przybywających - Pomnik Ofiar Grudnia. Nikt go nie zauważa, bo wszyscy skoncentrowani są na korkującym się w tym miejscu ruchu drogowym.

Tezy są następujące:

- dla spójności architektonicznej i zachowania koncepcji urbanistycznej – winien tu stać gmach nawiązujący do pierwotnej zabudowy, a więc Teatr Miejski! Jestem pod wrażeniem książki pani Joanny Tytkowskiej-Drożdż, która powinna pełnić funkcję wyroczni w zakresie dobrego smaku i akuracji przyszłych decyzji w sprawie kształtu tak symbolicznego i historycznego miejsca jakim jest Plac Solidarności i jego bezpośrednie sąsiedztwo. Inne centrum, oznaczone postumentem pomnika Sediny – to kolejny punkt honoru miasta. Przecież my to wszystko wiemy! Dlaczego udajemy ślepców?



Pomnik Ofiar Grudnia 1970, (Anioł Wolności), proj. Czesław Dźwigaj.



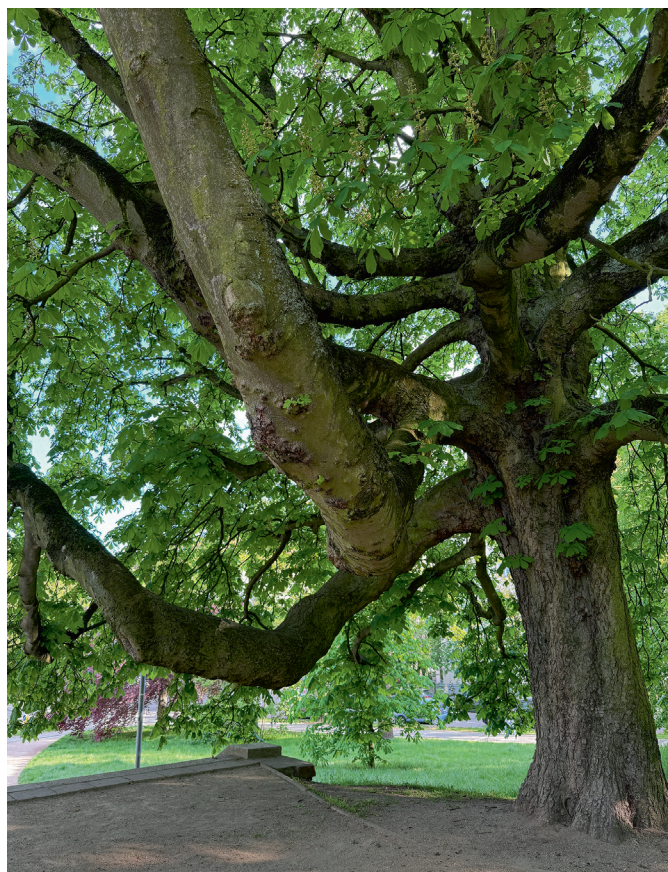
Fot: Internet – Gmach Koncert- und Vereinshaus, Konzerthaus, przy Augustastraße 48 (obecnie ulica Małopolska), adres nowej filharmonii.

- zasoby muzealne Centrum Dialogu Przełomy powinniśmy przenieść nie do stoczniowej świetlicy lub pomieszczeń uwolnionych przez Teatr Współczesny, który – **jeśli jest potrzeby mieszkańcom** – powinien dostać oryginalną, zgodną z koncepcją artystyczną – siedzibę. Bezwzględnie na prawobrzeżu, gdzie stanie się elementem nowego centrum kulturalnego.

- odtworzyć zgodny ze stylistyką zabudowy – dawny dom koncertowy, filharmonię, pamiętny Konzerthaus, na którego zbudowanie mieszkańcy Stettina potrzebowali osiemnaście miesięcy (1884)! Tamten obiekt stanowił centrum kulturalne miasta. W koncepcji – bliźniaczy do zachowanego gmachu, w którym mieściło się Prezydium Policji (następnie siedziba Gestapo, MO, UB i Policji).

Miasto musi przywracać siebie w zgodzie z kształtem i stylistyką pierwotną. To sprawa spójności stylu i charakteru Szczecina, kontynuacji wizji budowniczych Stettina. Tu muszę odnieść się jednym zdaniem, a do tematu wrócę w kolejnym numerze – do placu za budynkiem obecnego muzeum przy Wałach Chrobrego – nawet nie próbujmy myśleć o dokończenia wizji zabudowy tego fragmentu miasta!!!

Zostawiłbym to nasze poletko
elizejskie wolne, pełne amazońskiej
w swojej żywiołowości - zieleni
i przestrzeni w obecnym, natywnym
stanie.



Fot. Marek Koszur



Fot. Marek Koszur

Ta zieleń – zwróćmy uwagę – jak ona wspaniale wybujała w ciągu ponad stu lat! Uszanujmy jej dostojność i niesłabnący wigor. Potem trzeba się będzie zająć gmachem Filharmonii.

Ten najpiękniejszy budynek świata
sprzedałbym każdemu, kto da za
niego choćby złotówkę, a nie da nikt.
Bo to jest budynek dla Marsjan, a nie
dla Szczecina.

Od jego podświetlanych ścian i w tym samym czasie (na pierwsze regaty) podświetlonego Mostu Długiego, zaczął się w mieście **discopolowy styl ledowy**. Niektórzy zachłystują się widokiem kolorowych lampek, odbitych w wodzie. Inni bezmyślnie powielają tę manierę. Cała reszta – bezkrytycznie akceptuje to świętojańskie pstrzenie Szczecina. To zdaje się także my wymyśliliśmy sobie festiwal sztucznych ogní? Coś (sztuczne ognie) co rozumna część świata uważa za barbarzyństwo w stosunku do ptactwa i zwierząt, my postanowiliśmy uczynić znakiem naszej niepowtarzalności.



Sztuczna i nienaturalna, niczemu innemu nie służąca - blokada ciągu komunikacyjnego, zwana równie fatalnie: ścianą płaczu.

Lunapark Szczecin

Na świecie podświetla się budynki i obiekty, bo ich urok, piękno, wartości estetyczne i znaczenie warto podkreślać. W czasie największego kryzysu energetycznego, w Szczecinie pewien polityk podświetlał swój zakład pracy – Zakłady Energetyczne. Bo ich, energetyków, „nasz” prąd kosztował mniej. Więc nie tak drogie było to podświetlenie – słyszałem. Cóż za hipokryzja.

Pod względem architektury - Szczecin jest miastem europejskim. Spójny, jednorodny, przestrzenny i po prostu – ładny. I nie ma w jego pierwotnej koncepcji takiego kształtu i funkcjonalności Alei Wojska Polskiego z jaką się teraz zmagamy. To klasyczny przykład wciskania cięży w brzuch. Przepraszam...

Ktoś, jak pijany płotu – utrzymuje, że potrafi nurt rzeki puścić po niebie, a chmury wlać w koryto rzeki.

Ile za te wszystkie robótki do dziś zapłaciliśmy? Czy jest w mieście ulica, która pochłonęła więcej pieniędzy niż nieustannie przebudowywana Armia Polskiego? Ktoś ciągle robi nam na złość, zamieniając niewralgiczny trakt miejski w martwy zakamarek. W układzie, który jest jak kręgosłup miasta – jakiś z imienia i nazwiska dowcipniś – wyjmując jeden kręgiel. Komu tak bardzo zależy na okaleczeniu tej części Szczecina?

A inne części miasta? Te bezpośrednio nadodrzańskie?

Znika ulica Kolumba, to znaczy – pojawia się nowa wersja tej ulicy. Nie ma już śladów po stylu dawnego Rynku Siennego czy Węglowego, po Moście Kłódnym i nabrzeżu rybackim Bollwerk. Bezwrotnie zabijamy przestrzeń Łasztowni. Kto powstrzyma tych majsterkowiczów, którzy wymyślają i przeprowadzają jakże (nie)udane operacje plastyczne tam, gdzie potrzebna jest pokora i rzetelność w odtworzeniu genotypu miasta?

Szczecińska Wenecja...

Już tylko na czarno-białych archiwalnych zdjęciach?

Na pytanie, jakie skierowałem do rzecznika Prezydenta Miasta, o koszty przebudowy Armia Polskiego oraz dlaczego wybudowali trzecią fontannę w miejscu, gdzie natiwnie było i powinno pozostać – wspomniane połączenie ulic (wg obecnych nazw: Armia Polskiego, bł. Królowej Jadwigi i księdza Piotra Ściegiennego) **nie otrzymałem odpowiedzi**. A dlaczego miałbym otrzymać? Kim jestem, żeby Urząd poczuł trwogę na brzmienie mojego nazwiska i troski o **moje miasto**? Na fakt, że się tu urodziłem, wykształciłem, pracowałem, wystawiałem imię miasta po całym świecie. Urząd nie będzie rozmawiał z byle „pytkiem”. Urząd swoje wie i nikt nie odwiedzi urzędnika od realizacji jego wizji za pieniądze z naszych podatków, mandatów, opłat i znaczków skarbowych.

W Szczecinie każdy wszystko może, ale mało kto – umie.

A całe to nasze bezguskie zaczęło się od „odlotowej” filharmonii...

Szczecińskie szablony

Rewolucyjnym okazał się zlot żaglowców. Przez miesiąc, dwa – o niczym innym nie krzyczy do nas z plakatów i banerów nasze miasto jak tylko o żaglowcach. Plakaty, foldery, okładki gazet, wywiady, etc. Podczas pierwszego zlotu – zaproszono mnie do pracy w zespole prasowym regat. Jedno z najbardziej niewiarygodnych doświadczeń, o którym oczywiście opowiem. O czym? A na przykład o tym, dlaczego do Szczecina nie przyjechał Sting, który właśnie wtedy, gdy płynęły do nas żaglowce – ruszał w trasę z reaktywowaną właśnie grupą The Police. Chciałem połączyć te dwa wydarzenia.

- Panie prezydencie – mówiłem w drzwiach Jego gabinetu, bo wtedy nikt nie miał czasu na nic. – Na Stinga ludzie przyjdą do Szczecina na piechotę z całego świata! Za sześć milionów będziemy mieli promocję wszech czasów! A Niemcy, Ukraińcy, Słowacy i Czesi będą tu pierwsi.

Jeśli pamiętam, budżet na promocję regat był niewiele większy niż sześć milionów. Został wydany co do grosza. Na co? Dobre pytanie.

Kolejnym szczecińskim szablonem – okazały się krokusy. Magnolie były od zawsze, ale wobec takiej konkurencji – zeszyły na plan dalszy. O platanach już nikt nie wspomina. Potem – te kolorowe dźwigi, cały łasztowniany blichtr i setki, tysiące zdjęć pod hasłem „jaki piękny ten nasz szczecin”. Nie, to nie błąd ortograficzny. To próba uzmysłowienia nam wszystkim, jak bezmyślnie ulegamy tanim hasłom, świecidełkom, blichtrowi i tandecie.

Pewnie, że wolałbym, ale zaraz okrzyczany zostanę fantastą: czy jest możliwe, aby szczecińskie media społecznościowe, te spod znaku „jaki piękny szczecin” oszalały na punkcie wystawy w Muzeum Narodowym? Żeby na FB i Instagramie pojawiło się milion ujęć renesansowych obrazów czy starodruków prezentowanych w Książnicy albo dzieł prezentowanych w kilku ledwo dyszących galeriach?

Snobujemy się na piękno, unikatowość, oryginalność, na walory artystyczne i ideowe! Niestety, ten proces trzeba zacząć od siebie, od naszych liderów. Od ich mądrości otaczania się ludźmi od nich mądrzejszymi.

A to, niestety, trudne...

Dlaczego nie mielibyśmy promować takie patrzyenie na Szczecin?? Bo na kameralistycę i graficę nikt się już nie zna, nie rozumie rzeźby, nie wie jak powstaje obraz, nie rozpoznaje poety czy wirtuoza? Ale każdy wie, gdzie jest podświetlony słup albo dźwig.

Brawo!

W klubach i centrach – codziennie impreza. Jedna za drugą. Jutro nie będziemy pamiętać, czego słuchaliśmy, co oglądaliśmy przedwczoraj. Ale wypełniamy sale po brzegi. Bo taka jest w nas potrzeba bycia wśród ludzi. Obcowania ze wszystkim, co nie mieści się w czterech ścianach naszych mieszkań. Na ekranach naszych smartfonów.

Tu jest pole do politycznej ekwilibrystyki, dla wirtuozerii wizjonerów i polityków.

Proszę, pokażcie co potraficie!



Fot. Marek Koszur, Podświetlony gmach Filharmonii.



eXplozycja

Ciągle tam stoją...

Ale dlaczego tam? Bo chyba nie w celach ekspozycyjnych? Chociaż, nie... Są przecież odgródzone, a z boku, na stelażu – informacja o artyście i jego zdjęcie przy pracy. Ujęcia komentować nie będę. Dość niesmaku wzbudziła cała ta... eXplozycja?

Przeczy wszystkim zasadom prezentowania dzieł rzeźbiarskich. Katechizm sztuki definiuje rzecz jednoznacznie: naturalne światło i unikanie cieni. Jeśli dzieło tego wymaga – oświetlenie punktowe. Naturalne tło – jasne lub jednolite ściany (pozwalają skupić uwagę na rzeźbie). Rzeźby powinny być ustawione tak, aby widzowie mogli zobaczyć je z każdej strony. Wymagane wielkie sale lub otwarte przestrzenie, szczególnie dla rzeźb monumentalnych.

Zamek Książąt Pomorskich nie jest odpowiednikiem Muzeum Watykańskiego. Nie ma znaczenia jakim cieszyły się salony paryskie, daleko mu do British Museum, ale żeby poznać zasady prezentowania rzeźb - wystarczy przeczytać zalecenia Johanna Joachima Winckelmanna (XVIII w.) a już bezwzględnie uwagi Auguste Rodina. To on tak bardzo dbał o przestrzeń wokół jego rzeźb.

Przemoczone i sfilcowane kartki z informacją o twórcy, zdradliwe schodki i to przyklejenie rzeźb Richarda Hessa, (1937-2017), jednego z najważniejszych współczesnych rzeźbiarzy

niemieckich do ścian i okien zamkowego, krużgankowego skrzydła – nie irytuje, a wprost oburza. Kolorowe napisy, reklamy, podświetlone okna... Organizatorzy wystawy cytują słowa artysty: *Wielkość i przestrzeń są jedynymi środkami, za pomocą których twórca może wyrazić siebie*. Profeso-rze Hess, ma pan pecha, nie „wyrazi” pan siebie. Może to i dobrze, bo pewnie chciałby pan to zrobić po niemiecku.

Jedno z dzieł zostało przez Zamek zakupione. To „Koniec wojny”.

Zatem nie wywołujmy wojny. Ale też nie tolerujemy podobnego lekceważenia dzieł sztuki. O szacunku wobec nas, widzów – nie wspominam. Przykład eXplozycji dowodzi, że zamkowi specjaliści „nie unieśli” wyzwania przed jakim stanęli.



Na marginesie
Tygodnia Friedrichowskiego
CASPAD DAVID FRIEDRICH
Romantyk z Pomorza

Konkurs... upiornie melancholijny aneks

W poprzednim felietonie przywołałem postać i twórczość Davida Caspara Friedricha.

Greifswald zadbał o oprawę 250 rocznicy urodzin tego twórcy. O wpływie jego dzieł na kształtowanie postaw romantycznych, na modelowanie nowych wzorców estetycznych pewnie mówić się będzie przez jeszcze czas jakiś. Tak napisałbym pół wieku temu. Dziś mogę z całą stanowczością stwierdzić – nie będzie się już mówiło o tych sprawach ani przez moment.

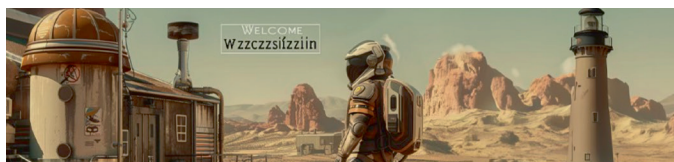
Fakty żyją medialnie tylko do momentu, w którym się w swoją fizyczność nie przyobleką. Wtedy przestają nas interesować.

Zapowiedzi, zachęty, anonse, ponaglenia, zaproszenia – mnóstwo tego w mediach tradycyjnych i elektronicznych.

Ale day after – cisza, jak po wybuchu niewybuchu.

Aż boję się organizatorów zapytać – czy powstała wielomedialna dokumentacja wszystkich wydarzeń tygodnia? Ktoś (ja) mógł zachorować na gripę, inny – miał wyjazd służbowy, kolejny – pokłócił się ze sobą i miał wszystko w nosie. Ale teraz chętnie wróciłby do wykładów, prelekcji, kuratorskiego oprowadzenia po wystawie. Znajdzie to wszystko?

W towarzystwie anginy, nieodstępującej mnie każdej jesieni – wybrałem się na wystawę pokonkursową, związaną... no właśnie... O założeniach i nagrodach tej wystawy pisałem w tym felietonie na stronie FB: Szczecin - Stolica Marsa.



Zamiarem organizatora było... Hm... Znow mam problem w uchwyceniu sedna sprawy... Dość, że uczestnik konkursu miał wykazać się wyobraźnią i fantazją, które to żywioły, zbrojne w pędzle, dłuta, igły do szycia, nożyce i wszystkie inne akcesoria twórcze powinny były pokazać nam coś... czego nie było. A nie było wyprawy pana Friedricha do Stettina. Jego sprawa. My, to znaczy uczestnicy konkursu mieliśmy ów wyjazd udokumentować artystycznie. Wymyślić tę wyprawę. Ba – namalować ją, wyrazić w dziele artystycznym.

Pamiętam krawca, chyba pan Ziółkowski, czy nie przy Konopnickiej miał swój zakład?

- Ładna sztuka materiału. Wyjdzie z tego garnitur, a dla pani spódniczka i krótkie spodenki dla chłopca.

Ten chłopiec to ja. Pamiętam... Wszyscyśmy wychodziliśmy od pana Ziółkowskiego jak spod igły. Ot, taka wyobraźnia...

Przepraszam, czego Pani nie rozumie? To tak trudno opisać podróż na Antarktydę w sytuacji, gdy w całym życiu, najdalej była pani w Stargardzie?

Zatem - obejrzałem wystawę. Każdą pracę (od pewnego momentu – prawie każdą). Dwa razy uszczypnąłem się w miejsca szczególnie wrażliwe i nie odwołuję żadnej z wyszczynanych w tamtych chwilach uwag, nawet tych niewypowiedzianych i w myśli.



Prawie pół wieku temu specjalista ze Szczecina oznajmił światu, że rozszyfrował inskrypcje utrwalone na słynnym dysku z Fajstos. Nie można wykluczyć, że czcionka Friedrich250, zamówiona przez muzeum, będzie równie wielką zagadką dla Nowożytnych za 2-3 tysiące lat. Pomysł fajny, tylko czemu ma służyć? Kelner w zaprzyjaźnionej restauracji, gdy zamawiam zawsze jedno i to samo danie mawia: - Nareszcie coś oryginalnego! I zmiata pyłek z obrusu przyokienego stolika.

Buty to najważniejsza rzecz

A kilka ich par w całym życiu już schodziłem. I wiem, że nawet w lichych, wygodniej się stąpa niżli boso. I dlatego każdemu doradzę: organizuj tylko takie imprezy, które przyniosą efekt przynajmniej zbliżony do twoich oczekiwań. Nigdy nie idź na żywioł, bo ten zmiecie najpiękniejszą ideę. A tę bezideową – wręcz zlekceważy.

Friedrichowski konkurs można byłoby pięknie wygrać, gdyby zaproponować w nim udział uczestnikom o kwalifikacjach akceptowanych przez standardy muzealne. Wspaniałe są konkursy malowania kredą na chodniku. Oczywiście! Ujawniają arcytwórców i genialne kreacje. Ale w kręgu właściwym dla tej tylko kategorii malarzy chodnikowych.

Poza tym – musi być jasno określony temat. W dawnych czasach, pamiętam doskonale – organizowano dziesiątki „plenerów bez tematu”. Zjeżdżali artyści do PGRów, dużych zakładów przetwórczych, fabryk – i przez trzy tygodnie wszyscy pili, jedli i tworzyli. Przemawiał dyrektor, związkowiec, działacz partyjny i kombatant. Odpowiadał im rzeźbiarz, aktorka, poeta (oczywiście chudy) i aktywistka kulturalna. Ciąg logiczny i konstruktywny. Podobne zjazdy urządzali literaci i dziennikarze. Jedyne co z imprez tych pozostało – to wrażenia... Ach, gdyby teraz mogli Państwo zobaczyć tę błogość na mojej twarzy...

Muzeum Narodowe, tak skutecznie i bezmyślnie rozmontowane decyzjami urzędniczymi – zrobiło coś, co porównać można z konkursem skakanki na szpilkach na środku olimpijskiego lodowiska dla tańców figurowych.

Uczestnikom (ktokolwiek chce) obiecano wystawę „najciekawszych prac” czyli w sumie chyba wszystkich. I – uwaga – taki uczestnik napisze sobie w życiorysie: udział lub prezentacja moich dzieł na wystawie pokonkursowej w Muzeum Narodowym. Napisze? Jak dwa i dwa – cztery. Skłamię? Nie. Nobilitacja jak stąd do Marsa – tak. Taki papier czy zapis to glejt – wręcz przepustka do następnych wystaw, a to w zakładzie naprawy maszyn do pisania lub montażowni sokowirówek ręcznych z funkcją drylowania. Trzy takie papiery i po czerwonym dywanie wchodzimy do Związku Polskich Artystów Plastyków, (oddział na Marsie).

Zatem - wystawa

Salę w muzeum są duże, więc trzeba je było wypełnić, choć Caspar pomieszał się z brązowymi wojownikami, muzami i innymi starożytnościami tworząc artystyczny, taki swojski bałaganik to i tak nie on był tu bohaterem. Ciekawostką i nieoczekiwaną atrakcją okazały się poduszki i pierzyny, pedałówki, torby i wdzianka z motywami friedrichowskimi. Doprawdy – urocze! Ale kto w kurniku zabroni komuś wieszać Rubensa? I odwrotnie? „Szyjemy Sztukę!” – takie zdaje się było hasło ekspozycji, która w sposób oczywisty musiała zdominować uwagę zwiedzających.

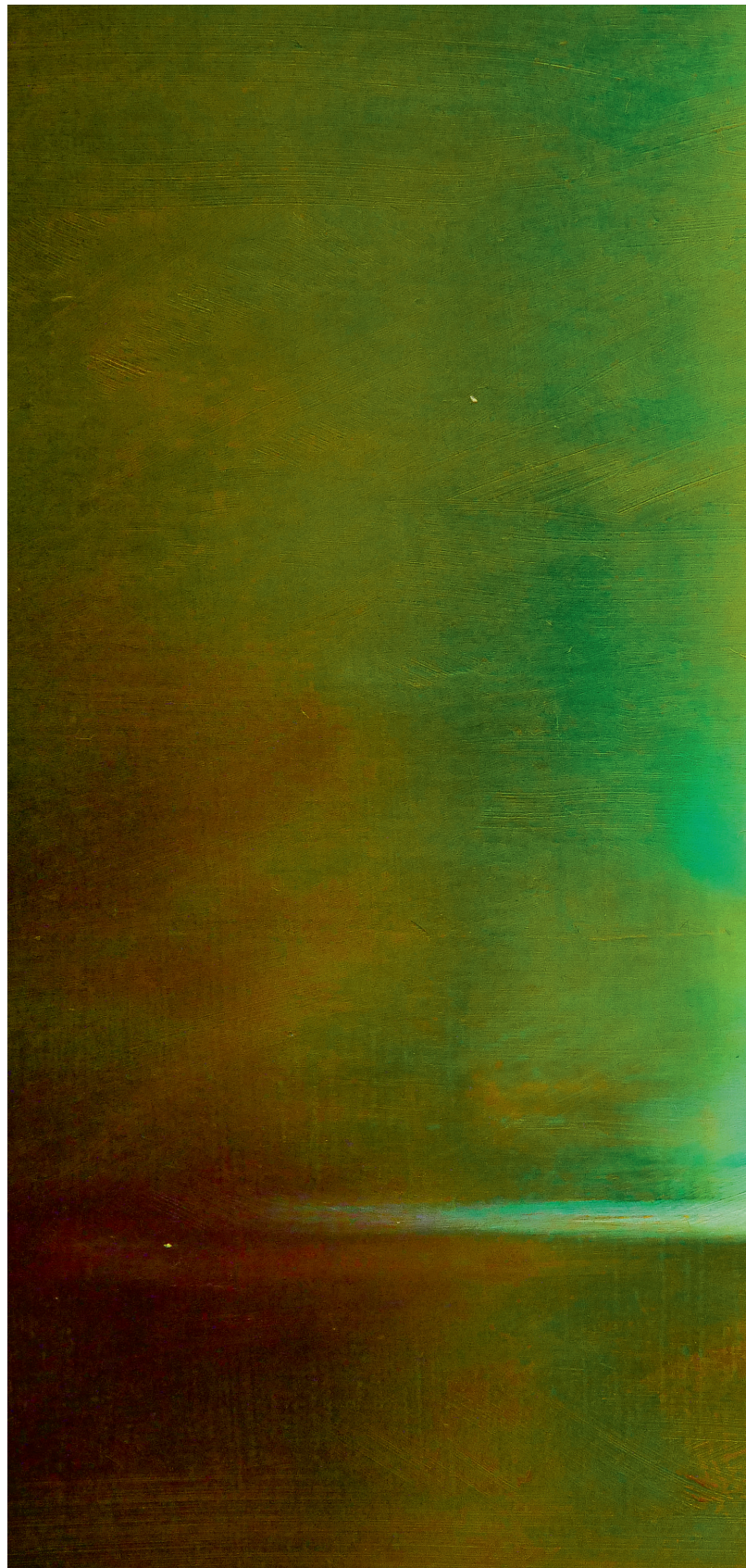
Takie czasy, proszę pani, takie czasy.

Dziś wszystko jest sztuką, a i sztuka może być... wszystkim.

Konkursowy temat malarski – przypominam - wyobraź sobie domniemaną podróż Friedricha do Szczecina. Nie ma żadnych dowodów, że ekskursję taką romantyk odbył, ale – uspokajaj nas organizator - po to masz wyobraźnię, by ją uruchomić. No i została ci ona uruchomiona. Efekt utwierdził mnie w przekonaniu, że wyobraźnia to nie salceson. Myśli nie będę rozwijał, pozostawiając rozkosz dywagacji zwiedzającym. Następną taką okazja pojawi się za 250 lat. Więc odnotuję tylko tę jedną pracę - która wręcz mnie zaskoczyła. Ba, zelektryzowała. To „Myślę o Friedrichu”, pędzla Bożeny Mozolewskiej.

To był moment, taka sekunda, wzbogacona dreszczem, bezdechem, prawdziwym dotknięciem. I choć po chwili, uchwycony za gardło przez racjonalizację wrażenia, mógłbym mówić o detalach, o rozwiązaniach, ledwie zarysowanych plamą, krótszych nawet od przebłysku – to nie ulega żadnej wątpliwości, że trafił we mnie friedrichowski impuls wypływający z tej wizji, jakiś transcendentny podmuch. Jestem pewny, że powiedział do mnie: „Ty”, a może nawet... rzeczywiście mnie dotknął?

Widziałem oryginalne obrazy Friedricha, patrzyłem na nie długo i w całkowitym rozbrojeniu wobec treści i wrażeń z tych płócien płynących. I nic. Poza dojmującym zachwytem i podziwem. A tu, ta jedna, nawet chyba nie kompozycja – przeszła przeze mnie jak wiatr z Piątego Wymiaru!



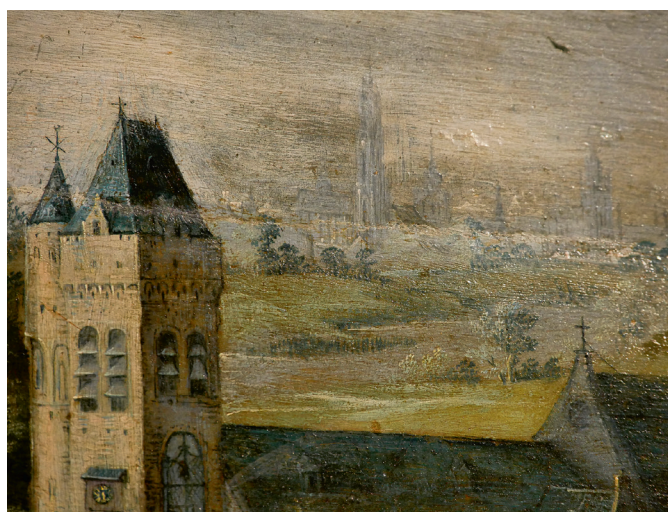
Dziękuję za to doznanie.

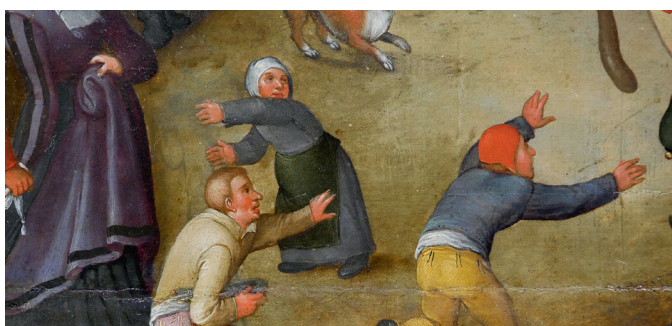
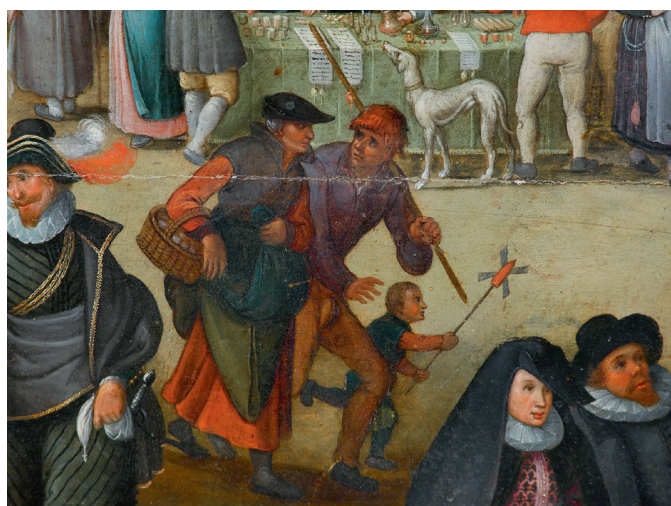
Będę z niecierpliwością czekał na pogłębienie tego bliskiego spotkania artystki z.. już sam nie wiem, którym wymiarem. Pewne jest to, że Friedrich w nim na Nią czeka.

p.s. wiem, że partner Szczecina - Muzeum w Greifswaldzie, współorganizator konkursu dla artystów niemieckich otrzymało jedną pracę malarską. Daniel Źródlewski, pomysłodawca i animator Tygodnia przekazał, że strona polska zebrała ponad sto pięćdziesiąt prac.

Bożena Mozolewska, Myślę o Friedrichu.







Ukryte znaczenia Gazeta Idealna

W doskonały nastrój wprowadziła mnie wystawa prezentowana w Muzeum Narodowym przy Wałach Chrobrego - **Ukryte znaczenia. Sztuka na Pomorzu w XVI i XVII wieku.**

A na wystawie – jeden obraz, który jest jak pełnokrwisty film fabularny lub powieść sensacyjna.

Swoją dramaturgią dalece przewyższający perypetie agenta 007, barona Munchausena i Koziołka Matołka. To „Wielki kiermasz” – namalowany przez twórcę z kręgu Davida Vincboonsa, obraz olejny, na dębowej desce, z pierwszej ćwierci XVII wieku.

Rzuciwszy nań okiem – doznałem olśnienia – przecież to **najlepsza gazeta codzienna, z jaką kiedykolwiek się zetknąłem.** To idealny serwis informacyjny o treści i zakresie wręcz niespotykanym!

Taki *blick* sekundowy, pozwalający uchwycić momenty duże i małe, skandaliczne i wstydlive, dostojne, tajemnicze, krótkowilne i smutne, zabawne i szemrane. Wszystko! *It's my life!* – jak zaśpiewałby Bon Jovi, czyli mój wnuk Olo, który przy tym utworze, z elektryczną gitarą w ręku – spełnił się artystycznie w wieku lat prawie dziewięciu. Uprosiłem go i łaskawie zgodził się, abym wystąpił razem z nim, ale tylko w chórk, i jeden raz, wydając z siebie to urocze: uuuu...

W muzealnej komnacie uuuczałem dobry kwadrans. A i to – jestem pewny – nie wszystko dostrzegłem. Pomyślałem, eh, żeby kiedyś i mi udało się dziennikarskie dzieło podobnej przenikliwości stworzyć!

Taką gazetę redagować – to wyzwanie! Cóż za zmysł krytyczny i obserwacyjny musiał cechować malarza, który tak perfekcyjnie sportretował fragment życia miasta, skoncentrowany wokół kościoła (rzecz zrozumiała), ukazując wszystkie grzechy główne i cnoty pobożne – wszystko w pełnej symbiozie.

p.s. jaki zmysł w postrzeganiu i obserwowaniu bliźnich cechował naszych przodków. Ludzie więcej wiedzieli o innych niż o własnych sprawach. Dlaczego? Bo nie mieli smartfonów.



Romani Ite Domum
@RomIteDom

Mam hipotezę, że Szczecin nie istnieje. Wiadomo, że leży nad morzem, ale jak spojrzeć na mapę to nieprawda. Leży w jakimś kącie kraju, nigdzie nie po drodze, to i nikomu nie ma po to tam jechać, żeby się przekonać na własne oczy. I tak szczecińskie kłamstwo żyje i ma się dobrze.

Koń, jaki jest, każdy widzi...

To najślynniejsze hasło encyklopedii „Nowe Ateny” księdza Benedykta Chmielowskiego, człowieka, który o świecie drugiej połowy XVII wieku wiedział wszystko. Rzecz każdą bezbłędnie objaśnił, a jego definicje, w gruncie rzeczy, są aktualne do dziś. To nasz google sprzed dwustu lat.

A zatem – koń jaki jest, każdy widzi. Nie inaczej, tylko dosłownie odczytałem słowa pana profesora Radosława Ptaszyńskiego – „wyszło jak wyszło” – komentującego m.in. dotychczasową działalność Centrum Dialogu Przełomy, w odniesieniu do „popularyzacji opowieści” o szczecińskim grudniu '70 i sierpniu '80, opublikowanych na łamach wyborcza.pl.

Jako świadek historii w odniesieniu do wydarzeń w Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego z okresu grudniowych, a szczególnie sierpniowych strajków i dnia podpisania porozumienia w 1980 roku – chętnie zabiorę głos.

W grudniu '70, wspólnie z kuzynką nosiliśmy do stoczni jedzenie jej narzeczonemu. Niedługo po zakończeniu strajków uległ „nieszczęśliwemu wypadkowi”. Nigdy nie dowiedzieliśmy się: gdzie i kiedy oraz - co się stało?

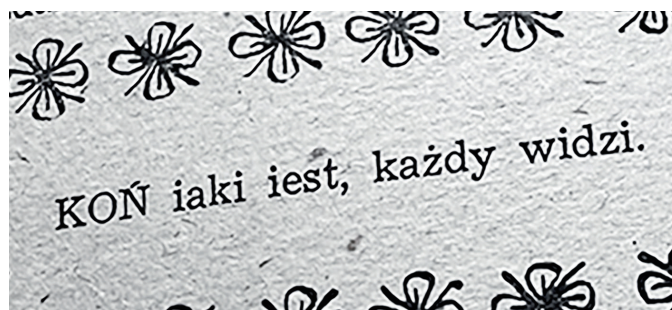
W '80 – relacjonowałem sierpniowe wydarzenia na antenie lokalnej i ogólnopolskiej Polskiego Radia. Kierowałem wówczas Redakcją PI (publicystyki i informacji Rozgłośni Polskiego Radia w Szczecinie oraz współredagowałem i prowadziłem wydanie Kroniki, jedyne go programu informacyjnego Telewizji

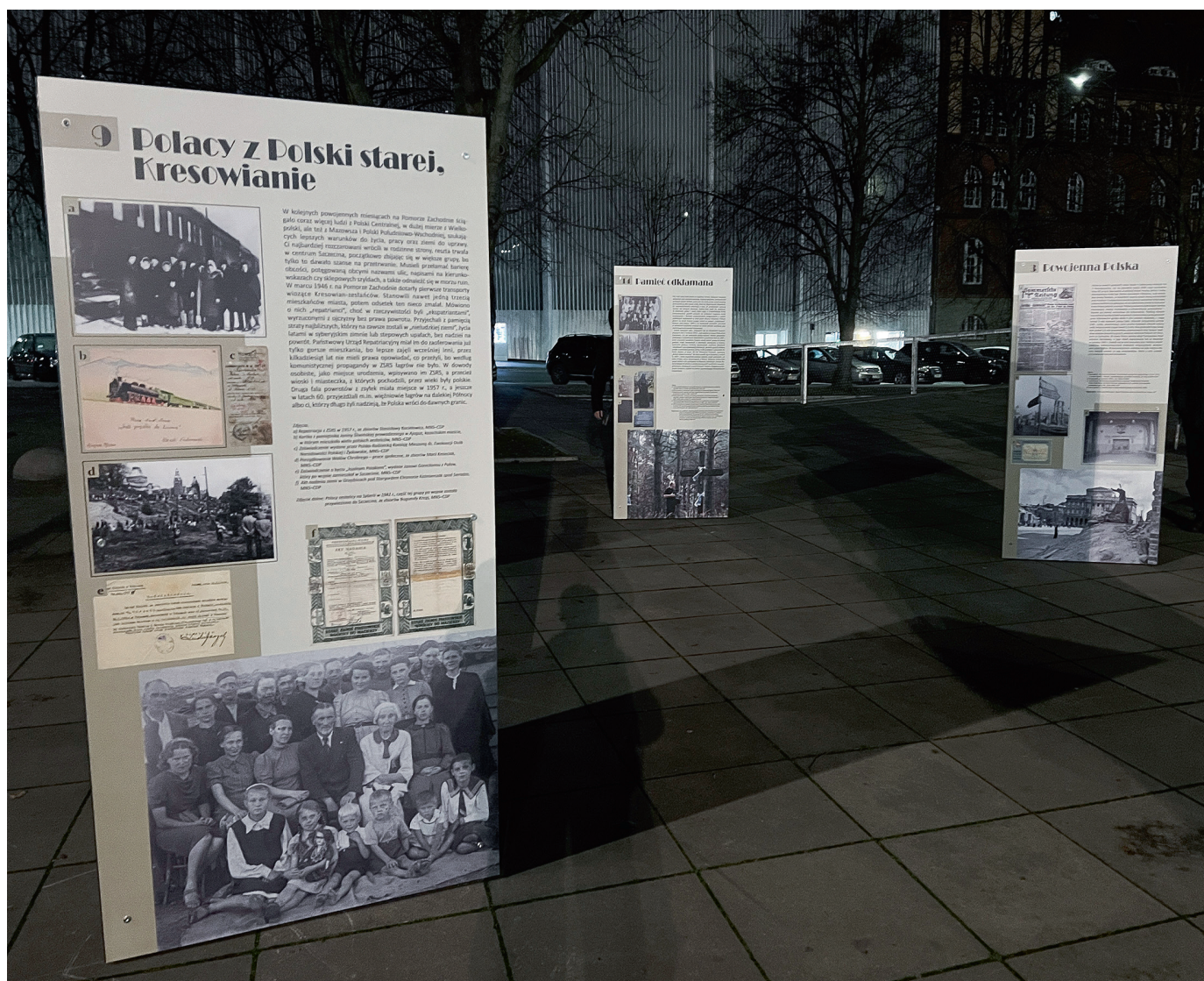
Szczecin. W tym samym czasie doszło do połączenia obu naszych redakcji w ramach Ośrodka RiTV, w którym też odpowiadałem za codzienne serwisy informacyjne.

Pomówmy więc o faktach.

Kierowniczką Centrum Dialogu Przełomy, oddziału Muzeum Narodowego, pani Agnieszka Kuchcińska-Kurcz omówiła na łamach szczecin.wyborcza.pl istotną, znaczącą, ważną rolę CD Przełomy. Rutyna. **Nikt przecież nie powie o kierowanej przez siebie instytucji, że ta działa źle.** Szefowie podobnych placówek chwalą samych siebie, żonglują np. ilością osób, które odwiedzają ich instytucje. Odhaczają kolejne wystawy, debaty, konferencje. Układ zamknięty. Sami chwailimy siebie. Pewne grono bezkrytycznych klakierów klika w serduszek m.in. na Facebooku, podnosząc poziom samozadowolenia muzealników z dobrze odwalonej roboty, jaką im powierzono. Ale, co tam Facebook!

W sali debat CD Przełomy zmieścić się może około 80 osób. Przy okazji wystawy „Wieża Babel”, połowa miejsc była wolna. Ale wrażenie robi liczba bez mała 300 tysięcy gości, którzy dotychczas odwiedzili Centrum. Ilu z tej masy tylko weszło do CDP i wyszło, a ilu dogłębnie odczuło tę wizytę – nie wiadomo. Uogólniając – ludzie są zadowoleni! - podkreśla kierowniczka placówki. No więc ja, niestety, do tej grupy się nie zaliczam..





Groby łączą ludzi

Zatem - wystawa „Wieża Babel”. Od razu wykrzyczę - kompletnie nie rozumiem przywołania biblijnej opowieści i porównania jej z wydarzeniami z 1945 roku w Stettinie/Szczecinie! Polacy i Niemcy nie spotkali się tutaj w myśl biblijnej idei, by wznieść budowlę na znak jedności i trwania we wspólnocie.

Zatem... Listopad 2023. Biegnę do CD Przełomy, aby wziąć udział w spotkaniu na temat wydarzeń 1945 roku, kiedy ludność Szczecina została niemal całkowicie wymieniona. Kilka dni wcześniej w przygranicznym Löcknitz uczestniczyłem w konferencji poświęconej podobnym zagadnieniom. Zaskoczyła mnie determinacja, z jaką niemieccy historycy i badacze, a także pisarze i dokumentaliści próbują współczesnym Niemcom przypomnieć losy mieszkańców Stettina i okolicy tej niewątpliwie - metropolii przed 1945 rokiem. Po stronie niemieckiej rozwija się akcja „zeszytów pamięci” – Fragen an Früher. Erinnerungen festhalten und weitergeben. Ludzie wypełniają zeszyty wspomnieniami, aby następnym pokoleniom przekazać pamięć o skutkach wojny.

W niezwykle chłodny i mroczny wieczór listopadowy stanąłem na placu przy CD Przełomy, pośród kilku stelaży ze zdjęciami opisującymi polsko-niemiecką „zamianę miejsc” w Szczecinie. Do niemieckich mieszkań i fabryk, na pola i rybne jeziora,

miejsc od setek lat zarządzanych i organizowanych przez Pomorzan - wprowadzili się polscy osadnicy. Dotarli tam, gdzie nie było... mogli ich przodków. Ten aspekt często pojawia się w znanych mi wspomnieniach przesiedleńców. Jakby cmentarz był podstawą, wokół której buduje się własną tożsamość i krystalizuje społeczność.

– *No i co z tego wyszło, co dalej?* – podsumowała swój pomysł wystawy oraz zapodziejanej publikacji pani Agnieszka Kuchcińska-Kurcz. – *Czy ci ludzie (którzy zasiedlili Szczecin – podkr. M.K.) utworzyli wspólnotę? Zbudowali silne społeczeństwo obywatelskie, dzięki któremu ten region może zyskać? No i tak sobie pomyślałam, że chyba poszło coś nie tak, bo Szczecin w rankingach miast podobnej wielkości łąduje na końcu listy. Ustawiając wystawę mówiłam, że z tych plansz tworzymy swoistą Wieżę Babel. Ale w chwilę później pomyślałam, że jednak bardziej będzie nam potrzebny krąg terapeutyczny. Jesteśmy pełni kompleksów, ciągle narzekamy, nie doceniamy miejsca, w którym przyszło nam żyć. Jak my to miejsce postrzegamy, jak widzą je inni – o tym będziemy dziś rozmawiali.*

To cytāt. Może wart ponownego przeczytania? Próbowałem. Chyba mniej więcej wiem, chociaż nie jestem pewny, o czym mamy mówić? I w jakim celu? A to już trudniejsze pytanie.

Nieodrobione lekcje?

Im mniej wśród nas świadków historii, tym współcześni śledczy bardziej intensyfikują swoją penetrację przeszłości. Na rozmowy z uczestnikami tamtych dni już praktycznie nie mają żadnych możliwości. Więc co skłania CD Przełomy do podejmowania badań nad krystalizacją szczecińskiej tożsamości po 1945 roku? Ilu naukowców omawiało już te zagadnienia przed nami? **Może najpierw warto odrobić lekcje, a potem własne pomysły opatrywać klauzulą: Eureka!?** O podobnych zagadnieniach, też dość bezkrytycznie, informowała szczecin.wyborcza.pl, w tekście „Pięknie tu, ale pora wyjeżdżać”. Socjologowie z Uniwersytetu Szczecińskiego doszli do wniosku, że dopiero trzecie pokolenie szczecinian zaczyna mieć, cytując: poczucie, że jest „u siebie”. Powtórzę: **zaczyna mieć poczucie**. Czym jest i jak się ono objawia?

Szanowni państwo socjologowie i czarnoksiężnicy! Moi Rodzice nie przyjechali tu wraz z pierwszymi osadnikami, ja nie urodziłem się pierwszego lata szczecińskiego, ale mam wielką świadomość przemian tego miasta. Tu urodziły się moje dzieci. Więc o poczuciu „bycia stąd” Rodziców, mego, moich dzieci i już dzielnej grupy wnuków mogę to jedno powiedzieć: **dla nikogo z nas ta kwestia nie ma już żadnego znaczenia**, poza sentymentalnym, chwilowym, emocjonalnym wzruszeniem.

Od ponad ćwierćwiecza jesteśmy tak zintegrowani ze światem, że mowa o odrębnościach jest próbą przyszczenia guzika do marynarki ze stalowej blachy. Można, ale po co?

Szczecin i Pomorze to miejsce, w którym wszyscy osadnicy coś zyskali. Każda zdobyta rzecz była zapisywana po stronie: przychody. Więc trudno o traumę, o poczucie krzywdy związanej z nowym miejscem osiedlenia. Inna rzecz – to uczucia, jakie niektórzy żywili wobec stron, które opuścili. Ale badania wykazują, że większość nowych mieszkańców tych ziem to dobrowolni, wręcz zainteresowani, a może nawet - entuzjastyczni przybysze.

Czemu zatem mają służyć dyskusje o szczecińskiej samoświadomości? Jest ci ona i basta. Współczesna, europejska. Nie ma w niej tajemnicy ani magii. Po prostu – jest. Czy da się uzasadnić ponoszenie kosztów na weryfikację tej oczywistej prawdy? Cisną się na usta słowa Wiktora Osiatyńskiego: „wstać rano, zrobić przedziałek i _” np. z całym entuzjazmem zajmować się sprawami bez znaczenia. Ale ważnymi!

Pod materiałem opublikowanym w gazecie - zabrałem głos jako czytelnik. Dwa razy wysłałem moje uwagi do tekstu. Niestety, nie ukazały się w polemice pod tamtym artykułem. Prawem i obowiązkiem gazety jest udostępnianie łamów Czytelnikom. Wypowiedzi należy publikować z jednym tylko zastrzeżeniem – nie mogą naruszać prawa i godności ludzkiej. Chyba, że – po znajomości – usunie się głos krytyczny czytelnika, odnoszący się np. do dawnej koleżanki redakcyjnej. Dlatego napisałem niniejszy tekst i natychmiast wysłałem do kierownika redakcji. Aby moje usunięte posty komentujące zastąpił materiałem polemicznym. Niestety... Mimo kilku monitów – grobowa cisza. Bo po co nam różne prawdy, skoro mamy swoją?

Szczecin Miasto, którego nie ma



Szczecina... nie ma!

Po zagajeniu dyskusji, zostaliśmy uraczeni krotchwilnym felietonem multimedialnym na temat obecności Szczecina w świecie Internetu. Podstawą dociekań dr Igi Ranożek-Bieńkowskiej stał się przewrotny wpis internauty, który stwierdził: Ale przecież Szczecina nie ma. Przypomniała mi się scena z okresu przedszkolnego moich dzieci. Pewna „truskaweczka” opowiedziała swoim kolegom dowcip: jest samolot i... (tu zakręciła się na pięcie) nie ma „samolota”. Dzieci kręciły się i powtarzały ten slogan przez cały tydzień. Śmialiśmy się i my, z kurtkami i kaloszkami w ręce, ponaglać rozbawione pociechy, że pora iść do domu. Ale one miały taki ubaw, że aż miło było patrzeć. Zwykła bzdura. Był samolot i... nie ma samolota! Szczecina też nie ma! No, dlaczego nikt się nie śmieje?

Felieton prezentował niedorzeczności na temat Szczecina, które – podobno – rzutują na postrzeganie nas w świecie wirtualnym: Szczecin leży nad morzem, Szczecin jest niemiecki, dzieci ze Szczecina zebrały pieniądze na charytatywny cel i mają więcej podobnych planów na takie akcje w mieście, którego przecież nie ma, itd.

Dziś, z niemądrej (ale jednak...) prowokacji, z takich absurdalnych internetowych stwierdzeń próbujemy wyciągać naukowe wnioski. Zachowanie całkowicie irracjonalne. Nie każda bzdura wymaga naszej uwagi. Ok?

Niesamowite podziemie

Z kolei na pytanie: jak ty postrzegasz i widzisz Szczecin - odpowiadała Katarzyna Górewicz, graficzna i plastyczka, która dziesięć lat („całe moje dorosłe życie”), mieszkała i pracowała w Niemczech.

– No, dobrze postrzegam Szczecin. Pochodzę z Kołobrzegu, ale jak mnie pytano, to mówiłam, że jestem ze Szczecina. Aha, Szczecin! – odpowiadali moi rozmówcy – No, wiemy, ten Szczecin to on gdzieś tam leży... Więc ja im tłumaczyłam, gdzie leży. Ja mam wrażenie, że on jest taki za mgłą, tak właśnie nas widzą. Mamy niesamowite podziemie artystyczne. No, ale właśnie, nie widać go. A jak (moi znajomi) tutaj przyjeżdżają, to mówią: o jakie to piękne miasto...

To synteza kilkuminutowej wypowiedzi, której celu i sensu ja nie widzę. Pointą do tego zdania była informacja, że pewien student Akademii Sztuki z Białegostoku miał do wyboru kontynuację studiów w Krakowie lub Poznaniu. Ktoś mu powiedział, że Szczecin jest wyjątkowy.

– On tu przyjechał i po trzech latach potwierdził: Szczecin jest wyjątkowy – opowiadała nam kierowniczka Przełomów. – Ale mam wrażenie, że podobne opinie o Szczecinie są ciągle w mniejszości – dodała.

Spotkanie zarejestrowano multimedialnie. Już sam ten zapis byłby wystarczającym powodem do dyscyplinarki. Jak można wykorzystywać aparat instytucji, zapraszać na takie harce ludzi przekonanych, że wezmą udział w poważnej debacie? Szturchnąłem kolegę. Ten zrobił minę, której nie mogę opisać, bo kolega nie życzy sobie żadnych medialnych identyfikacji, a jest jedną z najbardziej rozpoznawanych postaci w mieście. Sam o sobie mówi, że ma zdolności opiniotwórcze.
– Mało widziałeś... - szepnął.

Szefowa CD Przełomy przeprowadziła 11 listopada 2023 sondę wśród osób, które przyszły zwiedzić okolicznościową wystawę. Zapytała, kto z kolejkowiczów oczekujących na wejście do środka był już w tym muzeum, kto interesuje się historią miasta?

– No, powiem, że jakiś procent tylko, i to bardzo niewielki
– kierowniczka sama odpowiedziała na postawione przez siebie pytanie.

Więc co my tutaj robimy? Co udajemy, w co się bawimy? Bo na pewno nie w historię.

Bariery nie do przejścia

Z kolei Rafał Jesswein, rzecznik prasowy dwóch prezydentów miasta, dziennikarz, zachodniopomorski entuzjasta, od ponad 20 lat mieszkający i pracujący w Warszawie, wystąpił w roli koreferenta do w sumie niewyłoszonego referatu na temat naszej skryształizowanej „szczecińskości”.

– Ja wyjechałem ze Szczecina z tego powodu, z którego opuszczają to miasto także dziś wszyscy ci, którzy chcą w życiu osiągnąć coś więcej. **Szczecin nie jest jedynym miastem, który ludziom ambitnym stawia nieprzekraczalne bariery. Dalej się już nie da.**

Redaktor potwierdził, że „Szczecin w Warszawie nie istnieje”.

– Nie ma takiego miasta. Jeżeli jego nazwa się gdzieś pojawia to tylko w powiązaniu z Pogonią Szczecin oraz paprykarzem, który jest synonimem czegoś, czego nie nazwę, bo chcę być po prostu delikatny. Przez kilka ostatnich lat Szczecin był synonimem słynnej stępki i symbolem „ciamajdanu” gospodarczego poprzedniej ekipy rządzącej krajem. Trudno byłoby mi wskazać jakąś cechę, która pozwoliłaby nazwać Szczecin miejscem wyjątkowym.

Uwagi redaktora - co sam podkreślił, można byłoby odnieść do wielu innych miast naszego kraju. Ale w kwestiach potęgi

i przewagi intelektualnej nie możemy równać się z Poznaniem, a przede wszystkim z również nadodrzańskim Wrocławiem.

Szczecin nie leży nad morzem?

– Przywołam słowa Zbigniewa Rokity, laureata nagrody Nike za książkę „Kajś”, poświęconą Górnemu Śląskowi. W swojej następnej książce, „Odrzania”, autor pisał, że Szczecin to największe polskie miasto, które nie ma swojej opowieści. Literat przyznaje, że nie wiedział, iż... **Szczecin nie leży nad morzem.** Zaskoczeniem dla niego była wiadomość, że na nadmorskie plaże mieszkańcy miasta muszą jechać sto kilometrów. Mówię o książce, która ukazała się na rynku księgarskim pod koniec 2023 roku. Zbigniew Rokita jest uczciwy i szczerzy do bólu.



Rafał Jesswein podawał inne przykłady nieobecności Szczecina w świadomości Polski i świata.

– Szczecin nie ma swojej legendy, nikt o nim w świecie nie mówi. Obaj prezydenci Wrocławia, jeden w Bundestagu, a drugi przy okazji nagrody Nobla dla Olgi Tokarczuk, także ona sama – powtarzali: nie ma na świecie miasta, którego ludność zostałaby wymieniona w całości. To Wrocław. **A Szczecin? Nikt się o nas nie upomina. Pan prezydent? Obecny?**

Tu redaktor Jesswein przywołał zdanie wypowiedziane przez osobę mającą bardzo duży wpływ na poczynania obecnego prezydenta Szczecina. Ów doradca stwierdził:

Historia nigdy nie będzie elementem promocji tego miasta.

– Taka wystawa jaką dzisiaj otwieraliśmy, pomijając, że ja nie do końca wiem, co otwieraliśmy, bo tam, na zewnątrz, nic nie zobaczyłem, bo tam było tak ciemno, nie wiem zatem jak się odnieść do wystawy, której nie wiedziałem, ale po zdjęciach

sądząc, to są te zdjęcia, które już wielokrotnie widzieliśmy i pewnie jeszcze wielokrotnie zobaczymy na różnych wystawach. W dużym uproszczeniu powiem: **my cały czas mieliśmy te same tezy, rozpamiętujemy te same zdarzenia i... stawiamy kropkę. Wrocław postanowił rozpocząć następne zdanie. Efektem tego kroku ja jestem zadowolony.**

I znów zostaliśmy trafieni serią przykładów.

– Od początku lat '90 Urząd Miejski Wrocławia realizuje koncepcję promującą to miasto jako **wielokulturową metropolię**. Tak mówi pani prof. Ewa Ratajczak, kierowniczka Zakładu Komunikowania Międzynarodowego z Uniwersytetu Wrocławskiego. Przeszłość miasta, odwołanie się do jego czeskiej, austriackiej, niemieckiej i polskiej historii, tradycje zróżnicowane kulturowo, mają bardzo duże znaczenie w promocji Wrocławia, miasta wielokulturowego, a jednocześnie otwartego i przyjaznego.

To nie wstyd uczyć się od innych, podążając ich śladami. Grzechem jest tego nie robić. Ważne, by z tej nauki wyciągać tyle wiedzy, by dorównać nauczycielowi, a w końcu pójść dalej od miejsca, do którego on zdołał nas doprowadzić.

Oto miara i sens postępu

Książkę o Wrocławiu napisał Norman Davis – „Mikrokosmos Europy Środkowej”, Wrocław powołał międzynarodową nagrodę literacką dla ośmiu państw z gratyfikacją 170 tys. PLN. „Jantar” naszego marszałka, to podwieczorek dla lokalnych autorów. Szczyt Weimarski, Europejska Stolica Kultury 2016, a w 2019 Wrocław wchodzi do sieci miast kreatywnych UNESCO, Szczyt Regionów i Miast Unii Europejskiej – to wszystko odbywa się we Wrocławiu.

– Budowanie tożsamości, postrzeganie Szczecina czy jakiegokolwiek innego miasta powinno być ciężką, długotrwałą i wieloletnią, perspektywiczną pracą opartą o strategię, o myśl, o ideę. **My nie mamy ani myśli, ani idei, ani strategii** – wnioskował redaktor.

Himalaje nonszalancji

– Antidotum na te problemy miało być właśnie CD Przełomy, pod warunkiem, że mogłoby się bardziej rozhulać. Pomysłów kreatywnych nie brakuje – zapewniała samokrytycznie kierowniczka placówki. – **Na razie jest jak jest.**

Kolejna konstatacja pani Agnieszki Kuchcińskiej-Kurcz wprawiła mnie w osłupienie.

– W 80 roku, w czasie podpisywania porozumień sierpniowych, kiedy Szczecin był drugim obok Gdańska co do ważności i wielkości ośrodkiem strajkowym, **zrobiliśmy potworny błąd marketingowy**. Gdańsk podpisywał porozumienia w czasie największej oglądalności, a Szczecin – o ósmej rano. Tam Wałęsa wyszedł na wózek i powiedział: Mamy to! Mamy związki zawodowe. Machały mu tysiące. W Szczecinie Komitet Strajkowy cofnął się, a do sali weszła komisja rządowa. Kiedy pojawił się komitet strajkowy, na placu nie było nikogo, nie było kamer. Mam takie wrażenie, że krąży nad nami jakaś kłątwa „właściwego momentu”.

I tu nie wytrzymałem

Co mieliśmy w sprawie podpisania porozumień sierpniowych zrobić, jaki marketing i chwyt reklamowe zastosować? Może powinniśmy zorganizować pokaz mody stoczniowej, koncert na spawarki i syreny okrętowe? Urządzić stoczniową noc kabaletową? Odśpiewać szczecińską „Białą mewę”? A, nie znają Państwo? Jaka szkoda! To szczeciński hit lat powojennych.

Musiałem mocno zagryzać język

Wtedy, w sierpniu 1980, przez cały tydzień, jak wszyscy inni, żyłem w najwyższym napięciu, w ogromnym strachu, w zwątpieniu, w komunikacyjnej izolacji – **bo to w takich warunkach wykuwał się kompromis**. Jaki ostatecznie on będzie? Czy przetrwa, czy uda się go światu oznajmić, czy uzgodnienia zostaną zrealizowane? A może tej nocy wjadą tutaj czołgi? O, już coś słychać...

Obserwowałem i słuchałem stoczniowców i na krok nie odstępowałem wicepremiera Kazimierza Barcikowskiego. Z nim jechałem do stoczni i z niej wyjeżdżałem. Odpowiadałem na pytania premiera i sam mu własne zadawałem. Jak będzie? Co będzie? Taka bezkompromisowa szermierka z opaską na oczach. A Jastrzębie? A reszta kraju. Będą związki? Padną strzały, zapelną się więzienia?

Mój reporterski magnetofon rejestrował wszystkie spotkania grupy roboczej. Prawnicy i politycy rozmawiali ze sobą w klimacie wzajemnego szacunku. Jedna nieodpowiedzialna wypowiedź mogłaby zniweczyć potęgę robotniczego zrywu.

Ci ludzie – zdaniem kierowniczkich CD Przełomy – przy negocjacyjnym stole powinni byli myśleć o marketingu, reklamie, promocji? O kamerach telewizyjnych, fleszach aparatów reporterskich? Kamery mieliśmy w wozie transmisyjnym tylko dwie. Do tego radiowy wóz na bazie Robura i reporterską

wołgę. Nie mieliśmy anteny. Nic nie mogło pójść w eter bez akceptacji Warszawy i cenzury. O czym Pani mówi? Jaką ma Pani świadomość tamtych chwil, tego stąpania po linie bez najmniejszego zabezpieczenia! To było życie, a nie piaszkownica. Tu, w budynku dyrekcyjnym Stoczni, w sali gęstej od dymu rozbrajano największą atomową bombę w naszej historii, a pani mówi o – przepraszam – marketingu?

Kiedy o drugiej w nocy uruchamiałem ekipy radia i telewizji, by były gotowe na tę transmisję o ósmej rano – kiedy powitałem całą Polskę: Dzień dobry, jesteśmy w stoczni Warszawskiej... – nie wiedziałem, czy moje słowa rzeczywiście idą na antenę ogólnopolską. A jeśli tak, to co się stanie za godzinę, gdy Kreml dowie się o porozumieniu?

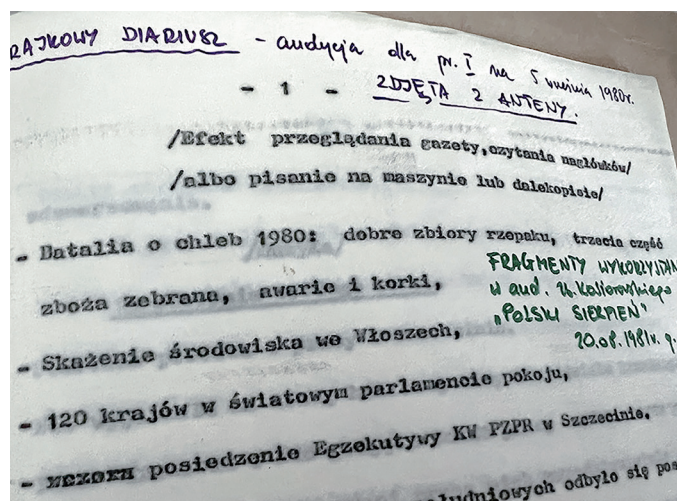
Szczecin był testem i sprawdzianem wytrzymałości wszystkich hamulców i stoperów, podtrzymujących na pochylni statek o nazwie „Nowa Polska”.

A pani kierownik CD Przełomy mówi o potwornym błędzie marketingowym?!

Proszę pani – czy zna pani zapach gazu łzawiącego, który rozsypany w 1970 roku w centrum miasta przez kilka dni wyciskał łzy wśród przechodniów? A zna Pani ból od uderzenia pałką milicyjną? W 1970 roku, uciekaliśmy po bramach ulicy Wyzwolenia, Obrońców Stalingradu, Mariackiej, Grodzkiej i Małopolskiej. To źle, że wtedy też nikt nie pomyślał o marketingu? Popelniliśmy kardynalny błąd? Jesteśmy pokoleniem nieudaczników? Pani wiedziałaby, jak z podpisania porozumień zrobić show, festiwal, stoczniową biesiadę albo wręcz karnawał!

Niepowetowana starta dla historii.





W 1980 roku, ja i mój zespół reporterów radiowych, a przez pewien czas także telewizyjnych – dokumentowaliśmy pierwsze minuty, godziny i dni przed i po podpisaniu porozumień. Niedowierzaliśmy, że one są, że obowiązują! W tydzień po podpisaniu, przygotowałem „Diariusz strajkowy”, duży blok informacyjny o każdym ważnym momencie ostatnich dwóch tygodni sierpnia.

Czy Pani wie, że audycja **nie ukazała się na antenie**? Zdjął ją bez słowa wyjaśnienia ówczesny zastępca redaktora naczelnego. Czyli... to już koniec, nacieszyliśmy się?

Pokazywały nas telewizje i gazety na całym świecie. Mielśmy reklamę jakiej nigdy nasza Polska nie doświadczyła i oby nigdy w podobnej sytuacji się nie znalazła. **Więc o jakim kardynalnym błędzie Pani mówi?**

Chyba wiem, ale ten błąd popełniony został współcześnie.

Jak słyszę – ogromne są Pani zasługi w powołaniu do życia CD Przełomy. Auto zbudować potrafi niewielu, ale aby je prowadzić, trzeba mieć prawo jazdy, czyli elementarną, zweryfikowaną wiedzę. O pokorze – już nie wspomnę.

Pani chciałaby, abyśmy wtedy pokazali gest Kozakiewicza robotnikom z Gdańska? Nazwali ich miększonami? Od nas się uczyć, jak komunie zęby wybijać? Pan Jurczyk miałby w swoim tak dla niego charakterystycznym fartuchu magazyniera spojrzeć w oko kamery i powiedzieć do Wałęsy: Lechu, pójdz dziecko, ja cię uczyć każę, jak rozmawiać z władzą?

Uprzejmość stwierdzeń profesora Radosława Ptaszyńskiego to przejaw klasy i odpowiedzialności. Mnie jako dziennikarza, wolno więcej, by w ten sposób dyskusję prowokować. Ale nie skorzystam z tego prawa nawet w małej części.

Nie ma co prężyć muskuły – koń jaki jest, każdy widzi. CD Przełomy nie jest stacją Pegazów.

Sierpień-wrzesień 1980 roku, zapisany w reporterskim notesie. Jeszcze nie opracowany. <https://koszur.net/?s=sierpie%C5%84+1980>





Perła w muzycznej koronie Pomorza

Na marginesie LX Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Organowej i Kameralnej w Kamieniu Pomorskim.

- Darowanemu koniowi...! - wołał pan Józef, gdy rano, w Nowego Roku, pukał do drzwi z życzeniami. Radość tryskała z jego oczu, ręce w emocjach rozedrgane, a głos – jakże śpiewny - intonował po chwili pieśń, zaczynając się chyba od słów: *najsamprzód młodości świata...*

Od kilku lat, mimowolnie, w każdy pierwszy dzień Nowego Roku - nasłuchuję... Ale nikt nie puka. Nie wiem, jaki los spotkał tego *bon vivanta*, szwależera, huzara i kawalerzystę. Wytapiał smalec ze skwarkami, ale taki, że niektórzy używali go zamiast brylantyny do włosów. Taki aromat i blask, taki szyk i fason...

W czerwcu 2024, rozpakowując kolejny przewodzkowy karton z książkami natrafiłem na „Pana Tadeusza”.

*„O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
A żołnierze rokiem wojny; dotąd lubią starzy
O tobie bając, dotąd pieśń o tobie marzy.”*

W książce – program, festiwalu w Kamieniu Pomorskim z roku... 1978.

Franek Zydroń, technik nagraniowy i nasz kierowca Zbyszek Nowek, który pozwalał mi „poszaleć” za kierownicą jego siwej wołgi.

- Takiej „strzały” to nawet w Komitecie (partii) nie mają - podkreślał w sposób jakże nienachalny.

Rzuciłem rozpakowywanie starych gratów. Wstałem z kolan. Zatankowałem auto. Zdążyć? Oczywiście. Na Kamień!

Droga – piękna, pogoda fantastyczna, radość wprost nieopisana. Jak w 1978...

Wtedy praca i reporterskie błędzenie w poszukiwaniu tematów było zadaniem złożonym. Nie mieliśmy Internetu, telefonów przenośnych. Jechało się „na rybkę” w jakimś kierunku i zaczynało rozmowę z napotkanymi ludźmi. A co tam u was, jak sprawy, jakieś problemy? Temat zawsze się ucukrował.

Kamień i festiwal to był pewniak. Znani ludzie, cenieni artyści, śmietanka kulturalna regionu, władze. Taki – no, salon! W dzień zwykły – obowiązkowa wizyta u prezesa Pańczaka w Spółdzielni Mleczarskiej. Zakwas w butelce, porcja sera, śmietana. A i coś mocniejszego się znalazło.

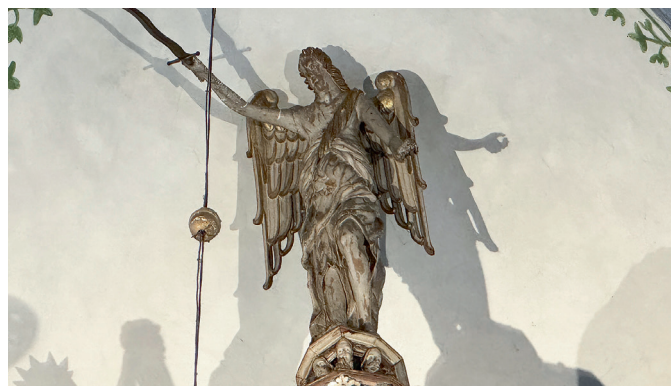
Jadę piękną S3. Szeroka, dwupasmowa. Nie to co niegdysiejszy trakt. Myśli biegają, pobudzając wspomnienia.

Przed katedrą spotykam profesora Eugeniusza Kusa. Są artyści, bohaterowie dzisiejszego koncertu. Uzgadniam warunki nagrania.

Wnętrze katedry się zapelnia. Eleganckie panie, dostojni panowie, autokar z turystami z Niemiec. A kiedyś jechało się tu PKS-em, pociągami, w trzy, cztery stare „warszawy”.

Ekipa radiowa ruszała niemalże o świcie, by stary robur transmisyjny doturlał się na czas pod katedrę. Rozwijanie kabli, ustawianie mikrofonów. Niekiedy - transmisja na żywo!!! Zazwyczaj jednak rejestracja koncertu, a potem, już na radiowej antenie - ilustrowanie wypowiedzi artystów, melomanów, turystów - fragmentami nagrań koncertów, rejestrowanych w niebiańskiej akustyce katedry. Tak było!

- *Festiwal... obumiera...* - usłyszałem w słuchawce telefonu głos pani Heleny Zwolskiej. – *Dawno nikogo ze szczecińskiego radia u nas nie było. Czekam na pana...*



Festiwal trwa siłą woli i autorytetu dotychczasowych organizatorów. Jak długo starczy im energii? Taki festiwal, taki dorobek, takie osiągnięcia...

Ci, którzy dzielą fundusze - czy robią wszystko, aby kamieński skarb przetrwał na następne sześćdziesiąt lat? - To nie jest muzyka naszego pokolenia - usłyszałem od turysty, który zblazowanym wzrokiem omiatał katedralne wnętrza. Jeśli tak, to masz strasznego pecha, chłopie. I powinienesz zrobić wszystko, aby ten uszczerbek, ten defekt i edukacyjną niedoróbkę jak najszybciej nadrobić - powiedziałem.

Kamieńskie muzykowanie, klimat i niedoścignione brzmienie katedralnych organów to tygiel naszej wrażliwości i duchowości. To treść, której braku nie da się wypełnić żadną inną materią. Ta wyrwa pozostanie - jak mówił poeta - *bębnem głucho brzmiącym*.

- *Kto jeszcze tego słucha?* - rzuciła w moją stronę partnerka turysty.

Bez pożegnania wyszli z katedry a ja całkiem o nich już zapomniałem.

Niestety, o takie postawy rozbija się pokoleniowy dorobek kulturowy.

W urzędzie powinien być zatrudniony kurator, strażnik festiwalowej tradycji, anestezjolog, ratujący organizatorów z każdej opresji. Taki festiwal to lokalny cud świata. To – wreszcie – impreza międzynarodowa. Czy ten fakt nikogo nie zobowiązuje?

Wiem, powtarzam się, ale na larum grzmieć trzeba coraz to głośniejsze. Bo wystarczy chwila nieuwagi i taki jeden z drugich, Siłacz, on sam *against all!* potrafi skreślić nie tylko festiwal, ale i Mickiewicza, a na dokładkę – Chopina. Można? W Szczecinie - jak najbardziej. Przykład? Festiwal Sacrum Non Profanum. To przypadek dla Prokuratora Moralnego.

Tego typu postawa jest jawnym sprzeniewierzeniem się dbałości o wychowanie Polaków w duchu wrażliwości, a w konsekwencji - odczuwania potrzeby obcowania z pięknem.

Nie. Nie będę rozwijał tego wątku. Poświęcę mu odrębny tekst, w kolejnym numerze pisma.

Na jeden z pierwszych piątków festiwalowych 2024 roku ściągnęła mnie zapowiedź występu zespołu wokalnego Art'n' Voices. A w repertuarze - współczesne wersje muzyki kaszubskiej.

Występ był rzeczywiście udany. Ogromna kultura wokalna, całkowita synergia zespołu, wystudiowane brzmienie i klimat... No i choreografia!

Posłuchajmy...

[Fragменты выступления zespołu Art'n' Voices.](https://www.youtube.com/playlist?list=PLZfClcTvyr0sKq4U3PPHLA3CrQwelhcl)

<https://www.youtube.com/playlist?list=PLZfClcTvyr0sKq4U3PPHLA3CrQwelhcl>

O, przepraszam, to tylko jedna łezka wzruszenia. Taka mała. O, już jej nie ma...

Za rok, JESTEM PEWNY Festiwal się odbędzie. I powtarzam sobie... O roku ów, 2024, widziałem ciebie w moim kraju... Trwaj na nowe siedemdziesiąt edycji festiwalu. Za darowany 2024 rok – jak mawiał pan Józef, dziękować będziemy kolejnemu, zapewniając, że za następny rok Jemu też się pokłonimy.





Od Autora:

Tekst powstał późną jesienią 2023 roku, w odpowiedzi na „zaproszenie” ze strony Czytelnika portalu szczecin.wyborcza.pl, podpisującego się pseudonimem „orombello”. Jedyny Orombello, którego sobie przypominam, to zdrajca stanu i cudzołożnik, przyłapany przez księcia na gorącym uczynku z roznamiętnioną Beatrice di Tendą.

Prośby zawsze starałem się spełniać. Ale zlecenie napisania recenzji ze spektaklu „Cabaret” okazało się jednym z najtrudniejszych. Bo musiałem zmierzyć się z wielkim i ważnym dziełem, jakże aktualnym i ponadczasowym zarazem i jego szczecińską realizacją. Stanąłem jak nad przepaścią. A i to jakbym nie powiedział nic.

Pierwsza wersja recenzji nie ukazała się w gazecie wyborczej.

Kolejne – nieustannie „łagodziłem”. W końcu – kręgosłup recenzji został złamany, a tekst zamieniłem na... wywiad, dla którego wspomniany „Cabaret” był jedynie pretekstem. Ale i ta wersja została odrzucona. Uzasadnienie w mailu od Jerzego Połowniaka, kierownika redakcji, było krótkie:

Znów jedziesz po Teatrze Polskim, w zasadzie słusznie, ale to już trochę obsesyjne.

Od tamtej chwili szukam... korepetytora. Kto mi wyjaśni, uzmysłowi, pouczy mnie i na nowo ukształtuje, aby moje teksty nie były kwitowane w sposób jak wyżej? Jakie są dziś kryteria kwalifikujące do druku na przykład - recenzję? Autor powinien „w zasadzie” mieć rację?

I ma.

Ale rację musi dzielić, rozmyślać na kilka tekstów, gubić ostrze krytyki, nie bacząc na to, że jest ona oczywiście słuszna?

Nie rozumiem!!! To ja przez pół wieku wszystko robiłem źle?

Moment... To, że teatr coś robi źle, raz za razem, to nie jest wina teatru tylko recenzenta, który owe fakty wychwytuje i opisuje, co jest poczytywane autorowi za brak jego - autora - stabilności emocjonalnej?

A teatr jest w porządku? Bo co? Bo nie gryzie się ręki, która teatr karmi? To o rękę tę idzie, która od takiego autora recenzji mogłaby się dowiedzieć, że ten teatr to on nie jest taki, jak ludzie z kierownictwa tego teatru mówią ręce ich karmiącej?

Ok. Zjem sobie jabłko... Teatralne... Z podwójną kurtyną. Dla recenzenta.

Wstęp uzasadniony upływem czasu. Polityczny titanic

Kiedy jesienią 2023 roku pisałem pierwszą wersję recenzji tego spektaklu - nie wiedziałem, czy idąca po władzę w landach wschodnich partia Alternative für Deutschland (AfD), jawnie i wyrażicie nazistowska, której lider sądownie został uznany za nazistę – czy ta partia przejmie tam władzę? Niemcy – coraz bardziej poirytowani wszechobecnością imigrantów – zaczęli upominać się – uwaga! – o przestrzeń życiową dla samych siebie! Pamiętaj Państwo to hasło?

Ręka zatrzymuje się nad klawiaturą, gdy słowa te piszę niemal w centrum Szczecina, skąd w linii prostej mam siedem kilometrów do granicy. Rok temu byliśmy zajęci przejęciem władzy przez KO. Nie obchodziło nas nic, co działo się tam, te siedem kilometrów na zachód.

Nie inaczej jest dziś. Na naszym titanicu zabawa powyborcza dopiero się rozkręca. Z funduszy europejskich wydaliśmy ledwie grosze, przed nami – trzyletnie żniwa. Co potem? *Never mind!* Zaśpiewamy nasz hymn – nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało, a za kolejne cztery lata - wrócimy, to się znów oblowimy.

Ostrość politycznej oceny sytuacji straciliśmy już dawno. Narodowego instynktu samozachowawczego nigdy w sobie nie wykształciliśmy.

Więc rozmawiam z Niemcami. W niewielkim miasteczku i w wiosce rzeczywiście zabitej deskami. W pobliskim mieście powiatowym i w stolicy landu. Pytam pastora i księdza. Kuzynkę kierowniczkę lokalnej Izby Pamięci i bardzo zaangażowanych działaczy na rzecz przygranicznego porozumienia. Rozpaczam współpracę z nowym pismem poświęconym polsko-niemieckiej integracji. Jadę na spotkanie do Stolca, gdzie w gronie zaiste reprezentatywnym dla pokolenia, które dziś tworzy najbardziej twórczy element obu społeczeństw – rozmawiamy o przyszłości. Ale nie tej za dziesięć lat. Mówimy, co może wydarzyć się jutro, za kilkanaście dni. I nikomu z dyskutantów nie jest do śmiechu.

Kiedy wznawiam pisanie tego tekstu – radio informuje, że niemiecki rząd podał się do dymisji. Za oceanem, Donald Trump przygotowuje się do nowej kadencji w Białym Domu. A my? My niezmiennie fetujemy przejęcie władzy, którą... *de facto* - tracimy każdego dnia.

Wracam do 16 września 2024 roku. Przygraniczny Stolec. Pawilon po dawnym wiejskim sklepie, zamieniony na klub dyskusyjny. Nasz „biały dom”.

- Nie ma znaczenia, że urodziłem się w Niemczech. Ten język znam lepiej niż mowę moich rodziców. Ale mam muzulmańskie imię, kolor mojej skóry nie jest typowy dla mieszkańców Vorpommern. A już najbardziej irytuje mnie to, że każdy funkcjonariusz służb granicznych lub policjant ogląda mój niemiecki paszport z wielką starannością, podczas gdy paszporty ludzi o cechach typowych dla regionu - ledwie biorą do rąk.

Patrzmy sobie w oczy. Malik Mayer ma niewiele ponad dwadzieścia lat. Współpracuje z szczecińskim Teatrem Kana. Gdy

opowiada o swoich doświadczeniach, tłumi bunt. Przyglądam mu się uważnie i... jakbym widział siebie: wysoki, szczupły, blondyn z lekko przymrużonymi oczyma. Malik – kruczowłosy, o błyszczącym, nieruchomym spojrzeniu w przyszłość. **Ja swojej przyszłości w jego wieku też nie widziałem.**

Wtedy, we wrześniu 2024 roku władze niemieckie ogłosiły półroczną kontrolę na granicy. Nikt nie wiedział, na czym ona będzie polegała? Jak w czasie covidu? Pełna blokada? - *Mówią o wyrwykowych kontrolach* - uspokajam.

Bo co mam odpowiedzieć mojemu młodszemu o dwa pokolenia rozmówcy? To, że w moim szkolnym elementarzu był wierszyk o „murzynku Bambo” i nikt w tej rymowance nie dopatrywał się rasizmu czy napiętnowania przedstawiciela innej rasy? To „otrzeźwienie” przyszło później. Stało się formą ponownej stygmatyzacji. Wtedy „murzynek”, a dziś – „obcy.”



Spotkanie w Stolcu, w siedzibie Market Groseria - Od lewej - Malik Meyer z Zaytun Ensemble, współpracującego z Teatrem Kana, Dorota Makrutki z Kulturreferentin für Pommern und Ostbrandenburg w Greifswaldzie, Marek Koszur, Luiza Ślusarenko-Supernak - gospodyni spotkania. oraz jego uczestnicy.

<https://www.pommersches-landesmuseum.de/aktuelles/detail/identitaet-und-geschichte>

Te procesy i społeczne przetasowania są jak przydrożny kamień. Każde koło może się na nim złamać. A koło historii w pierwszej kolejności. Takim kamieniem, a nie dynamitem, który głąz obojętności w piasek zamieni, mógłby być szczeciński spektakl dramatu – musicalu „Cabaret”. Ale odczytany tak, jak został napisany, z intencją, jaka skłoniła autora do wykrzyczenia ostrzeżenia, które ma ponadczasowy wymiar.

| Szanuj innego!

Echo tego okrzyku – oby nigdy nie wybrzmiało do końca.

Kilka kilometrów na zachód od dawnej, praktycznie zarośniętej już krzewami i trawą granicy dzieją się rzeczy, których w centrum Szczecina nie dostrzegamy, zajęci głupkowatym, polskim hasaniem na grzbiecie konika na biegunach, wymachując drewnianą szabelką, łojąc pokonanego, politycznego przeciwnika.

Masz rację, ale...

Otóż - nie ma żadnego „ale”.

| Jest tylko racja.

W zawodzie, któremu poświęciłem pół wieku, żadne „ale” nigdy nie pełniło funkcji kwalifikującej do publikacji tekst, komentarz czy reportaż. Mówię o moim osobistym doświadczeniu.

Powinnością prasy i mediów jest publikowanie.

Czytelnicy są jedyną instancją, która publicystyczne racje przyjmuje, odrzuci, zmodyfikuje, uzna za miałkie lub ważne. Prasa jest jedynym ringiem dla najbardziej nawet spolaryzowanych poglądów. Bo prasa jest lustrem czasu. Za kilka lat, aby dowiedzieć się, co interesowało ludzi w tym mieście, badacz sięgnie po archiwalne egzemplarze gazet i portali. Co o „Cabarecie” przeczyta w szczecińskiej Wyborczej?

Więc o co mi idzie?

Dzisiejsza prasa jest całkowicie bezzębna.

A ta patriotyczna, wręcz niemądra, ortodoksyjna, nierozumnie poprawna. Usłużna. W tamtych wali z otwartej dłoni, swoich – głaska pod włos, by sobie w sposób jeszcze bardziej wyrażony – drzemali na prasowym przypiecku. Pełna opieka.

Gazeta, jak ognia, unika ocen postępowania władzy i jej ministrantów. Co najwyżej pozwala czytelnikom, w komentarzach pod miakimi tekstami – wieść spory na niekiedy knajackim poziomie, uciekające się do impertynencji, bezczelności, chamstwa, wulgaryzmów i naszego zaprzaństwa. A wszystko odbywa się anonimowo. Czyli demokratycznie? Co nie znaczy, że nie pozostaje pod pełną kontrolą. Bo zanim opinia czytelnika pojawi się na stronie gazety, musi ją zatwierdzić człowiek, który np. spektaklu nie widział, nigdy recenzji nie pisał, nie ma kierunkowego wykształcenia, ale jest czujny politycznie. „**Znów jedziesz po Teatrze Polskim, w zasadzie słusznie, ale to już trochę obsesyjne**”.

A powinienem głaskać? Z jakiego powodu? Rozumiem – nie zauważył, wszak trzeba im (nam) dać czas i szansę.

Mówi mi to ktoś, kto nie ma żadnych doświadczeń z pracy w poprzednim reżimie, nie uczestniczył w ówczesnych ruchach obywatelskich, bo jego rewolucyjną pieśnią była wtedy: „koci koci łapki”. Teraz stroi się w zbroję obrońcy obozu demokratycznego, a o ludziach wielkiego formatu, tyle, że z tamtej epoki pisze do mnie w mailu: **to był komuch i nikt o nim już nie pamięta**. Ty nie pamiętasz. A powinieneś. I to z wdzięcznością. Ten „komuch” to redaktor i dyrektor Zbigniew Puchalski, twórca Ośrodka Radiowo-Telewizyjnego w Szczecinie, budowniczy wieżowca, który na stałe wpisał się w krajobraz miasta.

Dziennikarstwo bardziej niż badacz historii, musi ważyć przedkładane racje. Bo opisywanie świata przez dziennikarza stanowić będzie materiał do przyszłych naukowych analiz i opracowań. To nie społeczeństwo ani jego liderzy tworzą materię badawczą. Tę stanowi dziennikarska refleksja, a nade wszystko to, co u podstaw tegoż zawodu uważa się za jego fundament: *relato refero*: widziałem, opisuję. A nie przemilczam, odbieram innemu głos, chronię „naszych”, a rzeczową krytykę nazywam obsesją.

Nic więcej, nic mniej. Tyle i aż tylko tyle.

„Cabaret” - znów jedziesz po Teatrze Polskim, w zasadzie słusznie, ale to już trochę obsesyjne

Ogrodnicy wiedzą, że rośliny sadzimy zawsze zielonym do góry. Pijacy, że po pierwszym nie zakąszamy. A teatr? Teatr ma tyle zasad, ile wyborów. Może tu lub tam, wte i wewte. Ale może też – donikąd. Tylko dlaczego każde ze swoich działań nazywa... Sztuką?

Nie poszedłem na premierę.

Celowo opóźniałem konfrontację z legendą. Ta bowiem, jak sądziłem, winna się uleżeć, ucukrować, dojrzeć, by smakowała tak, jak sok z dobrze schłodzonego jabłka, w które wbijam zęby, przywykłe do gryzienia twardych orzechów. Choćby tych, odmiany cabaret.

Przed spektaklem zjrzałem do programu. Kilkanaście obszernych fragmentów z książki Jasona Stanleya „Jak działa faszyzm. My kontra oni”, Warszawa 2021. Hm... Kto z widzów, kilka minut przed spektaklem przeczytał hermetyczny, syntetyczny wykład na temat faszyzmu? Redaktorka zeszytu dokonała wyboru z wyboru, z wcześniej już wybranych fragmentów całości. W jakim celu? Czyżby ktoś próbował z tego materiału wydziergać listek figowy, aby zamaskować brak ideowego kręgosłupa inscenizacji?

Co zaserwował nam Teatr Polski? Na początek długą, fabularyzowaną filmową czołówkę, która brakiem jakiegokolwiek dramaturgii zabiła połowę ciekawości z jaką tu przyszedłem. Jakiś zapóźniony sen realizatora o tym, że nawet fabułę potrafi nakręcić? Nie, nie potrafi.

Zatem - „Cabaret”. Republika Weimarska chyli się ku upadkowi, Hitler przejmuje władzę. Amerykanin, początkujący literat przyjeżdża do rozpustnego i zdegenerowanego Berlina. Spotyka aktorkę z Kit Kat Klubu, mikrokosmosu ludzi, którzy tylko w tym miejscu czują się w pełni sobą, tu nie kryją swoich tożsamości płciowych. Ale są tu też narkomani, transwestyci, homoseksualiści, przemytnicy, szpiedzi, alkoholicy, spiskowcy, szpicle oraz kryminaliści i... „normalni” ludzie. Wszystko dzieje się w mateczniku eksplodującego faszyzmu.

Oto preludium do największej w dziejach ludzkości hekatombi.

Wielkie ostrzeżenie, ale jak każde z poważnych – bezskuteczne

W treści dramatu mamy kilka wątków, ale w inscenizacji szczecińskiej – teatralnie zaznaczono je ledwie śladowo, bo wszystko zostało zagłuszone... piosenkami!

Świat doskonale pamięta filmowy fresk „Cabaret”, którego wymowa publicystyczna górowała nad niezwykle ekspresywnymi songami, układającymi się w jedną z najbardziej rozpo-

znawalnych ścieżek dźwiękowych wszech czasów. Równie wstrząsający jest film „Zmierzch bogów” (1969) Viscontiego, opowiadający o genezie „nocy długich noży”. Ta zbrodnia z 1934 roku stała się płomieniem, od którego ogniem przemocy zajął się niemal cały świat. Oba obrazy wstrząsnęły sumieniem milionów ludzi. Bez obawy – na chwilę.

„Cabaret” jest pytaniem, które orbituje wokół szekspirowskiego dylematu: być albo nie być; oto jest pytanie. Ja skłaniam się jednak w stronę innego ujęcia tej nierozwiązywalnej kwestii: być albo nie; **być – oto jest pytanie!** Być w świecie własnych ideałów, który nieuchronnie runie w przepaść?



Cabaret, Joe Masteoff, John Kander. Teatr Polski w Szczecinie, reż. Adam Opatowicz. Fot. Włodzimierz Piątek

Czy za marną cenę zwykłego życia zdradzić samego siebie?

Szczecińska inscenizacja nie dostarczyła mi inspiracji do rozważań nad powyższymi kwestiami, z wyjątkiem ról Adrianny Szymańskiej i Michała Janickiego... To sceniczna Fräulein Schneider oraz żydowski kupiec, Herr Rudolf Schultz. Żadna z pozostałych postaci nie została nawet naszkicowana. Liczyły się piosenki. Znane i popularne. Głośne, a w gruncie rzeczy – wykrzywane. O ile wiem, te najsłynniejsze powstały dla potrzeb filmu, a nie dramatu wystawionego na Broadwayu w 1966 roku. Próby wyjaśnienia tej kwestii oraz zakresu dopuszczalnej licencją swobody w adaptacji formatu, jakim jest „Cabaret” spełzły na niczym. Polski przedstawiciel właściciela praw do tego widowiska nie odpowiedział na moje pytania.



Cabaret, Joe Masteoff, John Kander. Teatr Polski w Szczecinie, reż. Adam Opatowicz. Fot. Włodzimierz Piątek

Także autorzy choreografii i scenografii szczecińskiego przedstawienia mieli niewiele do powiedzenia. Nie zbudowali Kit Kat Klubu.

Układy taneczne dostosowano do możliwości aktorek, a nie tancerek.

A gdzie żywioł i wulkan ekspresji, jakim był berliński Kit Kat Klub? Przecież „Cabaret” to materiał na wielkie wydarzenie!

Widzowie spektaklu:

- Nie mam pojęcia, o czym są te piosenki. Wszystkie melodie są znane i wpadające w ucho, ale słów – poza pojedynczymi wyrazami – nie usłyszałam.

- Zmroziło mnie hajlowanie na scenie. Zbędne, niepotrzebne, wykraczające poza konwencję. Nawet w teatrze.

- Powiem tak - do zestawu piosenek dodano kilka scen teatralnych. Wokaliści niemal nie zwracali uwagi na akompaniament, a muzycy nie troszczyli się zbyt o solistów. Wkurzony jestem. Głośniej, głośniej... na FB widziałam, że od wielu tygodni teatr poszukuje specjalistów do nagłośnienia swoich pięciu scen! Znam to miasto. Tu nie ma takich specjalistów.

- Kilka lat temu oglądałem Cabaret na Broadwayu. Czy był lepszy od naszego? Nasz, jakiś taki... swojski? Na pewno – inny.

Ze szczecińskiego spektaklu nie uda mi się skroić ani felietonu, ani recenzji.

Wpisałem więc w wyszukiwarkę internetową tytuł „Cabaret” i zacząłem dodawać nazwy europejskich krajów.

„Cabaret” jest grany wszędzie!
Nieustannie i od wielu lat!
W Niemczech – przynajmniej na
koniec 2023 roku na scenach chyba
siedmiu liczących się teatrów.

Otrzymałem stamtąd interesujące materiały, bogate serwisy fotograficzne, także próbki video i sporo recenzji. Ale najciekawsza okazała się rozmowa z reżyserem najnowszej inscenizacji „Cabaretu” w teatrze w Getyndze, historycznym mieście w Dolnej Saksonii, jednym z największych ośrodków naukowych w Niemczech, w którym uczy się około 30 tysięcy studentów. Przygotował ją pan Aureliusz Śmigiel, rodak ze Stargardu, wzrastający na Helu, wytrawny żeglarz, który od ponad trzydziestu lat mieszka i reżyseruje przede wszystkim w Niemczech.

31 grudnia 2023 roku, wczesne popołudnie. Zaglądam do pocztowej skrzynki mailowej:

„Piszę tego maila w pociągu do Getyngi. Zobaczę dzisiaj 21 przedstawienie „Cabaretu”. Sala ma 500 miejsc. Prawie wszystkie przedstawienia były całkowicie wyprzedane, na niektórych było więcej widzów niż jest miejsc. Czyli dzisiaj wieczorem przekraczamy granicę 10. 000 widzów, w Getyndze, mieście, w którym żyje 134 512 mieszkańców (stan 2023). (...). Od wielu, wielu lat żadna inscenizacja w Getyndze nie miała tylu widzów w teatrze.

Pozdrawiam.
Aureliusz Śmigiel”.



AURELIUSZ ŚMIGIEL

Regisseur, Dozent für Schauspiel

Regiearbeiten an Theatern – 2022-1999

„Cabaret“ von Joe Masteroff/ John van Druten
/ Christopher Isherwood/ Fred Ebb/

„Das Leben auf der Praça Roosevelt“ von
Dea Loher

„Wassa Schelesnowa“ von Maxim Gorki

„Stille Nachbarn“ von Azar Mortazavi

„In einem Jahr mit 13 Monden“ nach
dem Film von Rainer Werner Fassbinder

„War Zone“ von Dea Loher

„Die depressive Person“ von David Foster
Wallace

„Das hat nichts mit Musik zu tun“ von
Claire Renegarde

„Wer wir sind“ von Claudius Lünstedt (dt.-frz. Uraufführung)

„Adam & Eva“ nach Mark Twain, Fritz Kater
und William Blake

„Krieger im Gelee“ von Claudius Lünstedt

„The Waste Land“ von T.S. Eliot, Musiktheater

„Freiburg“ v. Claudius Lünstedt

„Hinkemann“ von Ernst Toller

„Die Couragemangel / Futuresong“ von
C. Bukowski / D. Loher

„Lieder der Unschuld & Erfahrung“
von William Blake

„Psychosis 4.48“ von Sarah Kane
Eröffnungsinszenierung Eigenreich
Berlin - Gründung „Eigenreich“:

„Liliom“ von Franz Molnar

„Romeo & Julia“ von William Shakespeare

„Elektra“ von Hugo von Hoffmansthal

„Der Kirschgarten“ von Anton Tschechow

„Die Nacht singt ihre Lieder“ von Jon Fosse

„Gestochen scharfe Polaroids“ von
Marc Ravenhill

Bremer Theater

Stück-Lesung von Gao Xijiang, chinesischer
Nobelpreisträger,

„Nora“ von Henrik Ibsen

„Blaubart. Hoffnung der Frauen“ von
Dea Loher

„Ernst Busch“

„Familiengeschichten. Belgrad“ von
Bibiana Srbijanovic

„Mio, mein Mio“ von Astrid Lindgren

„Ein Stall voller Schweine“ von Athol Fugard

BERUFSERFAHRUNG

1994 – HEUTE

Dozent / Gastprofessor für Schauspiel

ausschließlich an staatlichen
Schauspielschulen in D und A

Hochschule für Schauspielkunst „Ernst Busch“,
Berlin

Universität der Künste, Berlin

Thomas Bernhard Institut, Mozarteum Salzburg

Akademie für Darstellende Kunst Baden-
Württemberg, Ludwigsburg

Hochschule für Musik und Theater, Rostock

Universität für Film und Fernsehen „Konrad
Wolf“, Potsdam Babelsberg

University of Duhok, Irak

1991 – HEUTE

Regisseur

ausschließlich an Staats- und
Stadttheatern

Deutsches Theater, Göttingen

Residenztheater des Bayerischen

Staatsschauspiels, München

Kammerspiele Deutsches Theater, Berlin

Maxim Gorki Theater, Berlin

Kasemattentheater, Luxemburg

Schauspiel Leipzig

Bremer Theater

Theaterhaus Jena

Freie Kammerspiele Magdeburg

Theater Bielefeld

Hans-Otto-Theater, Potsdam

BILDUNGSWEG

1992 - 1993

Studium Schauspieltheaterregie

Hochschule für Musik und Theater, Hamburg

1990 - 1992

Studium Germanistik, Kunstgeschichte

Universität Graz

1987 - 1989

Studium Theaterwissenschaften

Universität Krakau

Marek Koszur: Niemcy nieustannie oglądają w tym dramacie... samych siebie?

Aureliusz Śmigiel: „Cabaret” to materiał na wielki teatr. Piosenki stanowią ledwie kilka, nie więcej niż dwanaście procent całego materiału dramatycznego. Tak. Śmiem twierdzić, że ta sztuka jest dziś o wiele bardziej aktualna i pobudzająca do refleksji niż kilkanaście lat temu. Szczególnie w obecnych Niemczech.

MK: Ronny Thalmeyer, sceniczny pan Schultz stwierdził na portalu kulturfeder.de, że jego rola w pańskiej inscenizacji z 2023 roku ma zdecydowanie silniejszą wymowę polityczną niż ta, którą kreował tu w 2010.

AŚ: Aby odnieść się do tej kwestii muszę nakreślić kontekst polityczny, jaki mamy tutaj w Niemczech...

MK: ... a więc jakieś siedem, dziesięć kilometrów od centrum Szczecina...

AŚ: Tak, rzeczywiście. Muszę powiedzieć kilka zdań o jednej partii – to AfD.

MK: Antypolska, antyunijna i prorosyjska.

AŚ: Druga, to Die Linke – coraz bardziej radykalna siła polityczna w Niemczech. To właśnie postkomunistyczna lewica i skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec zdobyły łącznie prawie 55% głosów w Turynii w 2019 roku. Wtedy to Björn Höcke z AfD oznajmił, że jego partia napisze nową historię Niemiec.

MK: Na szczęście – te obie nowe siły polityczne wykluczają jakąkolwiek współpracę czy też tworzenie wspólnego frontu lub koalicji.

AŚ: W wielu innych krajach europejskich dają się zauważyć podobne tendencje. Sytuacja polityczna się radykalizuje. Pewnie słyszał pan o tym, że Federalny Urząd Ochrony Konstytucji (BfV) oficjalnie monitoruje działalność pana Höcke. W 2019 roku opiniotwórczy Spiegel tak zatytułował doniesienie o orzeczeniu sądu w Eisenach: Björn Höcke darf als „Faschist” bezeichnet werden – tak, tak, Björna Höcke wolno publicznie nazywać faszystą. To określenie zaczyna funkcjonować powszechnie w odniesieniu do działaczy tej partii. Publicyści i politolodzy zwracają uwagę na język tych aktywistów i argumentację nawiązującą do stylistyki narodowego socjalizmu – rasizm, antysemityzm, a także rewizjonizm historyczny.

Niewiarygodne? Mój Boże... Cechą wyróżniającą naszą cywilizację jest... naiwność. Blisko granicy z Polską, w krainie nazywanej „zielonym morzem Niemiec” już płonie zarzewie nowej katastrofy? Teren łatwopalny! Tam, w Turynii znajduje się pięć parków przyrody, park narodowy i dwa rezerваты biosfery UNESCO. Z tym regionem związali się Marcin Luter, Jan Sebastian Bach, Fryderyk Schiller, Johann Wolfgang von Goethe. Dziś jest to wręcz bastion resentymentów!

Spoglądam na prognozy wyborcze. W całych byłych wschodnich Niemczech (poza Berlinem) wyraźnie wygrywa AfD. W 2024 roku odbędą się wybory w Turynii i Brandenburgii. Przewiduje się, że AfD uzyska tu 27 i 34% poparcia. Meklemburgia-Przedpomorze – 32 %, Saksonia i Saksonia-Anhalt – odpowiednio 35 i 33%.

MK: Zatem mamy już polityczną scenografię do „Cabaretu” w wersji 2023/2024 i na przyszłość najbliższą...

AŚ: Oni idą po władzę. Nic nie wskazuje na to, że jej nie zdobędą przynajmniej w landach wschodnich. **Dlatego „Cabaret”**



Cabaret, Joe Masteoff, John Kander. Deutsches Theater Göttingen, reż. Aureliusz Śmigiel. Germán Fariás, Paweł Malicki, Gaia Vogel, Wendel Lima, Michael Tucker

nie schodzi z afisza niemieckich teatrów. Jest przestroga. Oddziałuje na widownię, pełni funkcję *deja vu*. Współczesny Kit Kat Klub ostrzega w stopniu większym niż wtedy, gdy Berlin i Niemcy zostały ukazane w literackim pierwowzorze tego musicalu – „Pożegnanie z Berlinem” Christophera Isherwooda (1939).

MK: Aby bez reszty wykorzystać siłę wyrazu „Cabaretu” zbudował pan najprawdziwszy Kit Kat Klub w Deutsches Theater Göttingen.

AŚ: Spróbowałem wyobrazić sobie tamten Kit Kat Klub. A więc muzyka – tę w sposób niedościgniony grały wtedy żydowskie zespoły klezmerzy. W klubie spotkać można było przedstawicieli wszystkich ras i narodowości. Oto zderzyły się wtedy - tak jak i dziś, ale teraz w stopniu jeszcze bardziej wyeksponowanym - dwie kategorie tak charakterystyczne dla niemieckiej filozofii: Das Lebendige – to, co żyje jednostkowo oraz Selbständigkeit, a więc to co należy rozumieć jako samodzielność myślenia.

MK: Ale po co panu ta rekonstrukcja?

AŚ: Żeby pokazać, co kiedyś stało się obiektem skrajnej nienawiści i celem morderczych zamiarów. Tamten Kit Kat Klub został całkowicie zniszczony. Nie uznano prawa do jednostki duszy i ciała według filozofii H. Conrada-Martiusa, dla którego nie są to kategorie odrębne. **Człowieka należy traktować jako niepowtarzalną, odrębną, nienaruszalną całość i szanować ją bez względu na te czy inne cechy, nie tyle odrębne co jedynie wyróżniające i odróżniające każdego z nas od innych ludzi.** Tak, dlatego na gruzach tamtego klubu musiałem zbudować nowy, współczesny Kit Kat Klub.

MK: Który także zostanie zniszczony? Z całym okrucieństwem teraźniejszości?

AŚ: Nie mam wątpliwości, że rozwinięte zostaną wszystkie sztandary homofobii, przeciwników migracji i proroków antyintegracji. Przywołam tu określenie „andersdenken” – to właśnie „ludzie myślący inaczej” staną się celem i ofiarą oprawców Kit Kat Klubu.

Wszystkie współczesne niemieckie, a także francuskie czy włoskie inscenizacje „Cabaretu” są rzeczywiście prezentacją odmienności jednostki. Czy to sformułowanie jest oksymoronem? Jest i nie jest równocześnie.

Aureliusz Śmigiel – podkreślimy - zbudował materię swojej inscenizacji z największą pokorą i ufnością w wyrozumiałość Stwórcy, który w Kit Kat Klubie, niczym w arce, znalazł miejsce dla wszystkich swoich dzieci, bez względu na ich cechy indywidualne. Kit Kat Klub jest światem wewnętrznie spójnym i pokojowym, jednakże całkiem bezbronny wobec sił zewnętrznych.

AŚ: Mój scenarzysta i inscenizator, wieloletni przyjaciel pochodzi z Islandii. Kostiumolóżka Salamaja Joro jest francuską, która urodziła się w centralnej Afryce. Ja pochodzę z Polski, ale płynie we mnie krew z dwóch źródeł. Choreograf, Valentin de la Scola to Katalończyk. Kiedyś był tancerzem w legendarnym zespole Johanna Kresnika. Głównych tancerzy solistów ściągnąłem z Argentyny, Brazylii i ze Stanów Zjednoczonych. Czwarty solista przyjechał z Polski. To



Aureliusz Śmigiel, reżyser, scenarzysta, wykładowca akademicki.

najważniejsze postaci dramatu. Z kolei ekipę Kit Kat Klubu tworzą ludzie, którzy przybyli tu z całego świata. Jeden miał taki kolor skóry, inny mówił z takim akcentem. Musieliśmy się porozumieć. Mówiliśmy w kilkunastu językach. Uzgodniliśmy, że komunikować się będziemy po angielsku. Musieliśmy się poznać, zrozumieć, zdefiniować, zaakceptować, nakreślić pola wspólne i obszary odrębne. Proszę nie zapominać, że każdy z nas, prywatnie związany jest z partnerami o równie nieszablonowym rodowodzie. **Zbudowałem więc Kit Kat Klub, który współtworzą ludzie całkowicie nieakceptowani przez AfD. Ten mój Kit Kat Klub powinien widzów bawić i w nie mniejszym stopniu - szokować losem, jaki go nieuchronnie spotka.**

Mój rozmówca ucieka wzrokiem... Dokąd? Milczymy dłuższą chwilę. Trwa weryfikacja tożsamości cywilizacyjnej. Skąd jesteś, kim jesteś, kim się stajesz, kim ostatecznie będziesz, co po tobie zostanie, komu możesz być jeszcze potrzebny, do czego?

Może... jako wyrzut sumienia jedynie? Ale to byt jednosezonowy.

AŚ: Kit Kat Klub to także ci, którzy cierpieli na samotność, a w Klubie spotkali bratnie dusze, jednostki społecznie wyalienowane lub odrzucone. Tutaj, jedni i drudzy zaczęli ze sobą rozmawiać, znaleźli wspólny język. To intelektualiści i filozofowie. To także zwykli ludzie...

Kim jest... zwykły człowiek?

Aureliusz Śmigiel chyba chciał mi go pokazać. Jako wytrawny znawca psychiki, kreował tę sylwetkę z cech wyróżniających jego znajomych i bliskich.

AŚ: Mój syn ma dwadzieścia lat. Dobrze zna historię. Ale np. problem II wojny światowej nie przygnała go i jego środowiska w takim stopniu jak miało to miejsce z nami. Dla nich wiedza o wojnie jest na tym samym poziomie co dzieje imperium

brytyjskiego. Kiedy ja patrzę na nazwy ulic w dzielnicy, w której mieszkam czy też jak oglądam książkę telefoniczną Wiednia – nadziwić się nie mogę, ile tam jest polskich nazwisk. Ale te nazwiska coraz mniej znaczą. W gruncie rzeczy już tylko... brzmią, i to tylko w uszach starszego pokolenia. Brzmią coraz bardziej obco...

M.K: Bezmiennność? To nas wyróżnia? Świat nie ulega ewolucji? Ten nasz zastępowany jest innym? Moim zdaniem – jest to wynik postępującej obojętności wobec minionych pokoleń.

Co wiemy o naszych przodkach? Nie przeraża pana myśl, że – ja pewnie pierwszy – obaj staniemy w szeregu nazwisk, jakby zapisanych na piasku na morskim brzegu, omywanym beznamiętną, rytmiczną, odwieczną falą?

AŚ: Tradierung... To ważna kategoria. Ciągłość tradycji. Z niewiedzy o przeszłości rodzą się demony. Demony sieją lęk. Nikt nie chce się bać. Ale ludzie nie pamiętają o historii. Człowiek zwraca się w stronę postaw narcystycznych. **Mój profesor historii na Uniwersytecie Jagiellońskim powtarzał: historia nauczyła nas tego, że nie nauczyła nas niczego... Ja pamiętam dobrze słowa Nałkowskiej – ludzie ludziom zgotowali ten los. Czy obecne młode pokolenia mają świadomość okrucieństwa, jakiego doświadczyli nasi przodkowie?** Dlatego dziś chcę pobudzić bezwolne i beznamiętne mieszczaństwo, które w latach trzydziestych XX wieku obojętnie patrzyło na los innych ludzi. Z drugiej strony – chciałem skompromitować postawę ówczesnych Żydów, którzy bagatelizowali fakty, sądzili, że „to minie, nic złego nam się przydarzyć nie może”. Tak mówi pan Schultz w spektaklu. Otóż nie wolno lekceważyć jakichkolwiek przejawów pogardy jednych wobec drugih. Chcę, żeby ludzie z widowni, posiadacze abonamentów na spektakle, stali bywalcy, dzięki którym teatr w Niemczech się utrzymuje, weszli w Kit Kat Klubie w dialog ze sobą właśnie, z ludźmi odmiennymi, mądrymi, wrażliwymi, poszukującymi miłości i zrozumienia. **Dziś wszyscy jesteśmy w tym samym Kit Kat Klubie. I wszyscy staniemy się ofiarami skrajnych sił. Nie chcę w to wierzyć!**

MK: A ja nie wierzę w skuteczność lekcji „Cabaretu”. Przecież to Berlin, a nie Paryż był w latach trzydziestych intelektualną i artystyczną stolicą naszego świata. Do Berlina ciągnęli polscy intelektualiści. Byli świadkami – na żywo – tego, co działo się w Kit Kat Klubie i jego okolicy. Niczego się tam nie nauczyli...

AŚ: Niczego. Przemysł filmowy, genialni muzycy, wszyscy artyści - ich centrum życiowe to był Poczdam. I to wszystko zniknęło z powierzchni ziemi. To przede wszystkim Żydzi artystycznie i intelektualnie napędzali tamten świat. Dziś Berlin znów jest centrum narzucającym ocenę świata. No, może Hamburg zaczyna z nim konkurować. Poważne aspiracje zgłasza Kolonia. W Austrii – Wiedeń. Berlin nie obawia się zbyt AfD. Ale czy słusznie? Ta postawa nie zwalnia mnie od wysyłania ostrzeżeń.

Dłuższą chwilę rozmawiamy o filmach dokumentalnych, których producenci dysponują wielkimi budżetami, a tematycznie nieustannie wracają do czasów III Rzeszy. Pierwszy program niemieckiej telewizji, w poniedziałkowe wieczory często prezentuje wstrząsające podsumowania, raporty zbrodni, rachunki sumienia. O wojnie mówi się tam bardzo często. Dlaczego?



MK: Dlaczego Niemcy nieustannie wracają do tamtych wydarzeń. Wskaźniki oglądalności tych programów mierzone są w skali setek tysięcy, a niekiedy milionów widzów?

AŚ: Niemcy to naród i kraj ze wszystkich jakie znam najbardziej otwarty. **Ale też ze wszystkich nacji – chyba najbardziej oczekujący na silnego przywódcę. Oni mówią – „hoffnungsvoll”. Czekają na kogoś, kto napelni ich nową nadzieją.** Nie wiem, co robi AfD z programem pierwszym tutejszej telewizji ARD, ale pewny jestem, że zdecydowanie zintensyfikuje promocję ich własnej wizji świata. **Zrobią dokument o tym, jak eliminują obecny Kit kat Klub...**

MK: Telewizja, prasa, teatr... Jakie jest ich znaczenie i rola w Europie tak bardzo się radykalizującej? Czy można jeszcze mówić o swobodzie artystycznej wypowiedzi? Ile jest miejsca na eksperymenty, poszukiwania, improwizacje?



AŚ: Teatr w Niemczech to tzw. Bürgerhaus. To centrum kultury finansowane przez ludzi kupujących bilety. Teatry mają stałą widownię. Ta nie będzie przychodziła na artystyczne ekscesy. Awangardowa wersja Romea i Julii? Tak, jest możliwa na tutejszej scenie, nawet w mniejszych miastach, ale zakres tej awangardy musi być mocno kontrolowany.

MK: Pan także eksperymentuje. Obok „Cabaretu” powszechnie zwraca się uwagę na pańskich „Cichych sąsiadów”. Jeden dom, kilkunastu mieszkańców i tysiąc światów. A ci mieszkańcy to – proszę darować – same ludzkie „robaczywki”.

AŚ: Podoba mi się to określenie. Tak, robaczywki. Z wierzchu dorodne, piękne jabłko, a w środku... Jeżeli eksperymentem jest zderzenie różnych wizji świata, to ja akceptuję takie działania. Ilu nas jest na świecie? Osiem miliardów? Każdy inny. Ale jedni nieustannie chcą dominować nad pozostałymi. Pokojowo ten zamiar jeszcze się nikomu nie udał. Zawsze... triumfowała tragedia.

Cabaret, Joe Masteoff, John Kander. Deutsches Theater Göttingen, reż. Aureliusz Śmigiel. Wendel Lima, Michael Tucker, Bastian Dulisch, Paweł Malicki, Germán Farias

Rozmowa z Aureliszem Śmigielem i wszystkie podjęte w niej wątki dalece wykraczają poza ramy aktualnego felietonu teatralnego. Żałuję. Gazeta codzienna jest jednak najważniejszym forum, które może i powinno uczulić, uwrażliwić naszą społeczną spostrzegawczość, zawiadującą instynktem samozachowawczym, a ten z kolei - winien wyzwolić w nas wszelkie mechanizmy samoobronne wobec narastających przejawów dziejowej przemocy. Sojusznikiem w tej misji może być sztuka i teatr pod warunkiem, że ten nie będzie tylko – jak niegdyś – „deskami na działkach”, gdzie po robocie, przy piwie, można było zatańczyć, sztachetą z płotu wymierzyć sąsiadowi sprawiedliwość i pognać w szuwary za Mańką z drugiego pietra, by dać upust siłom życia.



Cabaret, Joe Masteoff, John Kander. Deutsches Theater Göttingen, reż. Aureliusz Śmigiel. Gaia Vogel, Katharina Trabert, Bastian Dulisch, Nathalie Thiede

AŚ: „Cabaret” bardzo łatwo zamienić w przedstawienie muzyczne. Ale sam tekst dramatu jest tak sformatowany, tak przez dziesięciolecia zweryfikowany, że reżysera, aktorów i widzów musi przerażać zawarta w nim rekonstrukcja wizji zagłady Kit Kat Klubu. Ja i cały mój zespół zastanawialiśmy się, jak zakończy się ten „dziejowy” spektakl... **Wierzę, że nie spotka nas los ofiar kryształowej nocy. Ale pewności takiej nikt z nas nie ma.**

Ku przestrodze? Na to retoryczne pytanie, czy dlatego „Cabaret” nieustannie gości na scenach niemieckich teatrów – nie potrzebowaliśmy zwerbalizowanej odpowiedzi. Mój rozmówca, z swojego berlińskiego domu i ja, kilka kilometrów od niemiecko-polskiej granicy, w Szczecinie, gdzie w teatrze też wystawiana jest sztuka o tytule „Cabaret”.

Podobieństwo tytułów, w odniesieniu do przekazu obu przedstawień – wydaje się być niemalże przypadkowe.

Tam, pensje artystom wypłacają widzowie. W Szczecinie także, ale jakby coś poszło nie tak, to jest ktoś, kto nawet za byle co - zapłaci.

Najnowszy i najdroższy teatr w Polsce, sięga po repertuar, który niczym seismograf winien sondować temperaturę społecznego niepokoju, a w rezultacie serwuje muzyczną biesiadę historyczną.

Podczas gdy w Polsce, minione władze oplótły społeczeństwo siecią inwigilującego Pegasusa, niemiecka Bundeswehra zatrudniła naukowców skupionych wokół projektu Cassandra, którzy czytają i analizują literatu-

rę światową pod kątem symptomów i intuicji autorów, wieszczących nadchodzące zagrożenia i niebezpieczeństwa. Obecnie finansuje tę działalność Federalne Ministerstwo Obrony. Celem przedsięwzięcia jest budowanie systemu wczesnego ostrzegania oraz opisywania rodzących się konfliktów społecznych. Ta misja ma ostrzegać i pokazywać miejsca, które mogą stać się zarzewiem konfliktów, a nawet wojen. Szczególnej obserwacji poddano literaturę i sztukę z rejonów społecznie sejsmicznych: Kosowo i Bałkany, Nigeria i państwa sąsiednie, Ukraina i tzw. Osteuropa.

Na „Cabaret” nie trudno dziś trafić w mediach społecznościowych. Podczas gali Olivier Awards 2022, Eddie Redmayne, laureat Oscara za rolę Stephena Hawkinga w dramacie biograficznym „Teoria wszystkiego” tak zapowiedział występ Annie Lennox, która wcieliła się w postać Sally Bowles z „Cabaretu”: *Świat ulega nieodwracalnym przemianom, ale jest jedno miejsce, w którym każdy z nas może czuć się człowiekiem wolnym. To Kit Kat Klub! (...) Nie zdołały go zniszczyć siły przeciwne naszej wielkiej potrzebie pocucia wolności.*

Jeszcze!

Tę nadzieję wręcz wykrzykuję, mając w pamięci rozmowę z Aureliuszem Śmigiem.

Widzowie po spektaklu:

- *Podobało mi się. Z koleżanką chodzimy na wszystkie przedstawienia. Już prawie dwadzieścia lat!*

- *Kabaret i nie było kankana? Bilety za drogie.*

- *Wszyscy aktorzy z przyklejonymi mikrofonami. Wychodzi z lewej, znika z prawej, a ja go słyszę zawsze pośrodku.*

- *Przesadzasz, Halinko!*

- *Niech pan napisze, że było ładnie.*

Post scriptum...

Radzę bacznie obserwować rozkłady jazdy pociągów...

Lenin, po drugiej chyba międzynarodowce stwierdził, że światowa rewolucja jest nieunikniona. Ale doprowadzą do niej nasze wnuki – uspokajał pierwszy przywódca Rosji Radzieckiej ... Dwa tygodnie później, specjalnym pociągiem jechał do Rosji. Jechał, aby podpalić świat.

Czy Teatr Polski w Szczecinie jest dworcem, skrzyżowaniem tendencji i niepokojów demaskujących otaczającą nas rzeczywistość, przez którego teatralną scenę jadą rewolucyjne pociągi czy drezyny tylko? Warto sprawdzić, mając w pamięci tych kilka powyżej skreślonych uwag, opisujących Kit Kat Klub, wyrosły z obaw twórców z sąsiedztwa, z miejsca w linii prostej odległego od centrum naszego miasta o zaledwie kilka kilometrów, w kierunku na zachód.

To tak blisko, że jakby prawie u nas.



Teatr niewidzialnych dzieci

Prawda

Dorastając, z coraz to większą łatwością wyrzucamy z siebie ważne słowa. Ale nie zawsze dostrzegamy, jak – również z naszym wiekiem – rośnie tych słów... waga. Ich znaczenie. Wymowa. Jak bardzo obrastają w odpowiedzialność, rzetelność. W... prawdę.

Tę – czas nieodwracalnie retuszuje, potem rozmywa, wreszcie wymazuje. Zanim prawda zniknie – podlega transformacjom, odkształceniom, a niekiedy – wręcz fałszuje samą siebie.

Napisanie tej recenzji (późna jesień 2023) odkładałem w nieskończoność. Równie opornie idzie mi wyrażenie myśli po szczecińskiej realizacji „Cabaretu” w Teatrze Polskim oraz „Snu nocy letniej”, zupełnie na jawie zaprezentowanego we Współczesnym. A już o niemoc przyprawia mnie spektakl wg scenariusza Tadeusza Słobodzianka – „Historia Jaku-

ba”, doklejony (nie znajduję innego określenia) ni przypiął, ni przylatał do Szczecińskiego Festiwalu Bonhoefferowskiego (wiosna 2024). Dodatkowym utrudnieniem są tu ‘ochy i achy’ odrąbane na FB przez hetmańskich halabardników, zanim jeszcze do końca opadła kurtyna po wymienionych przedstawieniach.. Jak ja im zazdroszczę! Skąd oni wiedzą, że coś będzie wspaniałe, niezapomniane, oszałamiające, epokowe, rewelacyjne, niedoścignione - zanim się wydarzy! No, skąd?

Powód mojego stresu zawiera się w pytaniu: w jakim celu oraz dlaczego w takim kształcie powstają pewne spektakle?

Tuwimie, Julianie Tuwimie – widzisz to i nie grzmisz?



Czy najważniejszym problemem „Teatru niewidzialnych dzieci” jest prawda?

Spektakl składa się z dwóch głównych wątków: realiów życia w domu dziecka oraz wspomnienia stanu wojennego, utrwalone w pamięci ówczesnego dziesięciolatka.

Wzrastanie w takim domu to kwestia wręcz niewyobrażalna dla przytłaczającej części teatralnej widowni. Bo jak można nie mieć smartfona, taty i mamy?

W domu dziecka są same sieroty, wszystkie śpią w jednej sali, są żywymi „przedmiotami”, tytułowymi niewidzialnymi dziećmi, bo – podobno – inni ludzie odwracają od nich wzrok. – *Nie patrz tam, to dzieci z domu dziecka...*

To objaśnienie tytułu sztuki przyjmuję z wręcz dezaprobatą. Przynajmniej ja, nigdy się z podobną reakcją – odwracaniem wzroku od dzieci tylko dlatego, że mieszkają w domu dziecka – nie spotkałem. Przypominam sobie sytuacje odwrotnie! Więc?

W jakim celu „sufluje” się młodym widzom możliwość różnicowania ludzi od siebie tylko dlatego, że jedni z nich są wychowankami domu dziecka?

Tytuł i treść spektaklu (a także powieści) to materia, której żadne pióro nie przewierci

Na scenie zatem – dom dziecka, jego mieszkańcy, ich problemy. Kardynalną komplikacją jest umieszczenie akcji w okresie

wydarzeń najważniejszych dla kształtu współczesnej Polski – dni poprzedzających wprowadzenie stanu wojennego.

To takie połączenie ognia z... ogniem. Sceniczne „dzieciaki” mają uświadomić dzieciakom z widowni, jak dalece tamten świat różni się od obecnego. Ale... w jakim celu? Które elementy życia porównujemy? Dlaczego właśnie te? Wybór porównywanych sfer jest pewnego rodzaju kompromisem albo... propagandą. Co współczesnemu nastolatkiwi trzeba o stanie wojennym powiedzieć w punkcie pierwszym, drugim, siódmym i dwudziestym? Jak dokonać selekcji faktów i ocen? Jaką zatem prawdę o stanie wojennym serwujemy widowni? A inne prawdy? Chowamy pod dywan?

Tu pojawia się kolejny podpoziom do rozważań o wspomnianej prawdzie – wydarzenia z 1981 roku dziś opisuje Autor, który wtedy był dziesięciolatkiem. Tak, tak, świadomie łamię zasadę odrębności narratora i bohatera. Bo chcę podkreślić, że nawet pisarz nie zna kodu dostępu do własnej pamięci. **Budowany przez niego świat przedstawiony jest jakąś jedynie wariacją świata ówczesnego dziesięciolatka.** To kolejny dla mnie zgrzyt w koncepcji spektaklu.

Każda prawda jest tylko naszą prawdą

Jest też jedną z prawd. Powoływanie się na status świadka wydarzeń jest oczywistym nadużyciem. Ja stałem po tej stronie muru. Ty – po stronie drugiej. Obaj burzyliśmy ten sam mur. Ty – żeby mnie wyzwolić, a ja, żeby ciebie uwięzić. Ale – prawdą nie do podważenia jest fakt, że burzyliśmy ten sam mur. Zatem – jak rozłożyć akcenty? Czy szczeciński spektakl uwzględni ten uniwersalny aspekt opowiadania o przeszłości, także w odniesieniu do realiów z początku lat osiemdziesiątych XX wieku? Powinniśmy widzom pokazać jedną prawdę, wszystkie prawdy, zmaganie się prawdą?





Nawet pośród ludzi z tamtego pokolenia, dziś podwójnie już dorosłych, nikt nie wydał sądu, nie zadekretował prawdy o grudiowym przesileniu. A my, na widowni Teatru Lalek „Pleciuga” mieliśmy ze dwie setki szóstoklasistów!

Marcin Szczygalski (1972) – autor scenariusza, Magdalena Miklasz (1983), która tekst zaadaptowała, reżyser Przemysław Jaszcak (1990) oraz odtwórca głównej roli, Aleks Joński (1998) – każdy na swój sposób chciał widowni pokazać prawdę o stanie wojennym. W nawiasach – daty urodzeń inscenizatorów. Stan wojenny – przypominam – wprowadzono w 1981 roku. Ale „Teatr niewidzialnych dzieci” to nie jest sztuka historyczna, inscenizowana legenda czy baśń, to dotknięcie ciągle najtrudniejszego, żywego i nieopisywalnego rozdziału naszych dziejów najnowszych. W 1981 roku żaden dziesięciolatek czy stulatek nie był zdolny do oceny, do zajęcia stanowiska wobec dziejących się wydarzeń. Nikt nie wiedział, czym zakończy się ta konfrontacja gniewu i oportunistów, konformistów, pogardy, przemocy... Solidarnościowy zryw chciał cały nasz świat znów postawić na nogi. Ale o tym wiemy dziś, *post factum!* W 1981 roku nikt nie miał gotowego planu naprawy świata. Wszystko było *in statu nascendi!*

Nasz bohater nie był świadomy powagi ówczesnej sytuacji. Jeśli dobrze pamiętam to przedstawianie – on się nie zastanawiał nad ewentualnymi skutkami solidarnościowego zrywu. Pyta – a co to jest Solidarność? O genezie społecznego buntu otrzymał jedno, dwa zdania uzasadnienia, bodaj od męża ciotki Joli, wychowawczynie z domu dziecka. Czołgi, głodówki, strajki, ulice bez samochodów, zatrzymane tramwaje, puste półki sklepowe, godzina milicyjna, groźba interwencji militarnej ze strony Związku Radzieckiego.... On – dziecko – nawet się nie bał. Bo nie znał zagrożenia większego nad fakt, że trafi do kolejnego domu dziecka. Tym razem, na szczęście – lepszego, bo dostał w nim własny pokój.

Budowanie nawet literackiego świata ze strzępów i mgieł pamięci nastolatka, teraz – przez niego samego, już w wieku męskim opisywanego, obarczone jest wszystkimi ocenami i opiniami, jakie na temat realiów grudnia 1981 roku napotkał na swojej życiowej drodze. Innymi słowy – on tamten czas ocenia nie przez własną refleksję, ale przez sumę zaakceptowanych i odrzuconych opinii innych ludzi. Bo – jak powiedzieliśmy – sam nie był zdolny do własnej refleksji.

Młodzi widzowie Teatru „Pleciuga”, po tym spektaklu, ruszą w świat z oceną, opisem i wrażeniem zatytułowanym: tak Polacy żyli w okresie ustrojowej zmiany państwa. Tak, czyli jak?

Przed spektaklem rozmawiałem z grupą szóstoklasistów.

- Na jaki spektakl przyszliście?
- Według książki Marcina Szczygalskiego... Niewidzialnych... coś...
- Chyba...dzieci...? Nie wiem...



- Będą jakieś czary? – pytam.
- Nie wiem...
- A może to będzie zwykła bajka? – nie rezygnuję.
- Nie, chyba coś związanego z wojną.
- Często przychodzicie do teatru?
- Nie.
- Lubicie teatr?
- Tak.
- Dlaczego?
- Można zobaczyć aktorów na scenie, jak posługują się tymi wszystkimi lalkami...
- Chciałabyś zostać aktorką...
- No, nie wiem.
- Która sztuka zrobiła na was kiedykolwiek duże wrażenie?
- W „Pleciudze” byliśmy ostatnio na jakiejś sztuce o jakichś chyba kosmitach?
- No, to było fajne.
- Mi też się podobało.

Tabula rasa...

W transkrypcji powyższej rozmowy z dziećmi brakuje tylko... westchnień i opisu oczu wędrujących po wszystkich zakamarkach sufitu teatralnego foyer w poszukiwaniu odpowiedzi na moje pytania.

Reakcje młodych podczas niekrótkiego przedstawienia – to materiał do kolejnej oceny inscenizacji. Jedyne ożywienie pojawił się w chwili, gdy z głośników popłynęły dźwięki znanej piosenki.

Siedziałem w ostatnim rzędzie. Przede mną widziałem dziesiątki aktywnych smartfonów...

Nie inaczej było przed spektaklem. Wszyscy chłopcy, jak zmarznęte zimą wróble na oszronionej linii wysokiego napięcia, siedzieli w skupieniu i manipulowali kciukami wędrującymi po ekranach smartfonów. Ogólnie – panowała cisza (!) W moich czasach – zjawisko niewyobrażalne! Za to aktorzy podczas spektaklu dawali upust energii swoim głosom. Chwilami czułem się tak, jakbym znów znalazł się w czasie przerwy w szkole z epoki przedsmartfonowej. Ale wtedy panie nauczycielki nieustannie nas uciszały, kazały chodzić wzdłuż ścian korytarzy, parami, bez wrzasków i przepychanek.

- *Wy też tak do siebie w czasie przerw krzyczycie?* – zapytałem szeptem siedzące przede mną teatromanki, które na dźwięk mojego głosu nie oderwały wzroku od swoich smartfonów.

Odpowiedziały przecząco, ledwie dostrzegalnym ruchem oczu.

Myślę, że realizatorzy i aktorzy „Teatru niewidzialnych dzieci” nie doceniają tego, wcale nie drobnego, acz charakterystycznego i nowego, telefonicznego aspektu obyczajowości młodych ludzi. Smartfon dla nastolatków jest jak latarnia morska dla statku, zagubionego na oceanie. Światło małego ekranu jest najważniejszym punktem w ich świecie. Dziś młodzież już nie wrzeszczy do siebie, jak ta sprzed czterdziestu lat. Gdyby zatem na scenie zwolnić tempo wyrzucanych z siebie kwestii, stępić ich nieuzasadnioną wrzaskliwość, porównywalną mylnie z „aktorstwem”, może udałoby się skuteczniej dotrzeć z przekazem do widowni, zainteresować nim widzów, skupić ich uwagę.

Dzisiejszą widownię trzeba zaintrygować

Trzeba zaszokować w stopniu przewyższającym wrażenia, wywoływane przez materiały jakich tysiące oglądają oni w serwisach streamingowych? Tak! Taki też musi być scenariusz sztuki? Moim zdaniem – po trzykroć tak, ale na zasadzie całkowitego przeciwieństwa do ich obecnego „realu”.

Powinien stać się „nową” wartością, jakiej dzieciaki nie znajdują nigdzie indziej – tylko w teatrze. Klasycznym, z aktorstwem na najwyższym poziomie, sezamie magii. Teatr musi odzyskać moc, którą nas elektryzował, gdy był budowany z koca zawieszonego na oparciach dwóch krzesel. Z ciociami i wujkami na widowni, z ukłonami, fryzurami, na sekundę przed wejściem na scenę – poślinioną dłonią poprawianymi. Z oklaskami babci i pochrząkiwaniem dziadka. Taki „**teatr pełen niewidzialnych emocji**”.

Tak, wiem... Uciekam w didaskalia, bo chcę uniknąć postawienia sobie samemu pytania – o co szło w tym spektaklu?

Jakie pytania teatr postawił przed młodą widownią? Od widzów odpowiedzi nie usłyszałem. To co o spektaklu napisali realizatorzy – pomijam.

Wątek było wiele

Wręcz dużo: wyprawa do rodzinnego domu bohatera, korespondencja z sąsiadką, wspomnienie kolegów z poprzedniego domu dziecka, jazda samochodem z ciocią Jolą i jej mężem ulicami pełnymi politycznych haseł. Wreszcie – to szalenie ważne – organizowanie teatru, co chyba miało być *leitmotivem* całej inscenizacji, do której to kwestii jeszcze się odniosę. Także relacje między wychowankami domu dziecka. Ich autoprezentacje. Przypomnienie sylwetki kosmonauty generała Mirosława Hermaszewskiego – swego czasu – idola; odtworzenie archiwalnego wystąpienia generała Wojciecha Jaruzelskiego... – antybohatera... Ciekawy i interesujący naszkicowany wątek zafascywowania głównego bohatera Kosmosem, planetami, a szczególnie Kasjopeją... Dlaczego jednak autor wybrał zamienioną w gwiazdozbiór mityczną królową Etiopii, piękną ale ukaraną przez bogów za jej próżność i zarozumiałość? Nie wiem. No, domyślam się... A dzieciaki z widowni? Hm...

Materii starczyłoby na trzy spektakle. Pomieszczone w jednym – okazały się dawką zbyt esencjonalną.

I najważniejsze – nie było wyraźnie zarysowanego konfliktu. Widownia nie miała okazji, by za którymś z bohaterów się opowiedzieć, komuś kibicować, innego krytykować. Z jakim pytaniem po spektaklu (pomijam sekwencję tworzenia zespołu teatralnego w leśnym domu dziecka) wyszli młodzi ludzie na rozświetlone, przedwiosenne jeszcze teatralne przedpole „Pleciugi”?

Wielkim dla mnie pytaniem pozostaje kwestia, jak nauczyciele przygotowują młodzież na spotkanie z teatrem? Dzieciar-
nia nie miała pojęcia, o czym będzie sztuka. Nie stworzono „słowniczka wyrazów i pojęć archaicznych”. Nie przywołano kontekstu dla przedmiotów, zjawisk i sytuacji prezentowanych na scenie.

Wiem również, że wydarzeniu nie poświęcono lekcji wychowawczej. Treści scenicznej nie skonfrontowano „prawdami” w podręcznikach wiedzy o świecie.

Czy spektakle takie jak „Teatr niewidzialnych dzieci” są receptą na teatr współczesny?

Na **teatr nasz najważniejszy**, bo adresowany do młodych widzów? Na terapię teatrem i sztuką poprzez sąd nad postępkami i postawami teatralnych bohaterów? A wrażenia i emocje? Teatr i sztuka są ich jedynym źródłem!

Proszę postarać się poszukać odpowiedzi na powyższe pytania w dwóch ostatnich akapitach tej recenzji.

I niech mi darowanym będzie, że nie odniosłem się do scenografii, muzyki, reżyserii, gry aktorów, rozwiązań niektórych scenek (tak mam na imię, a tak chce być nazywaną). Nie w tych elementach tkwi sukces lub porażka tej sztuki.

A skoro już o porażce mowa... Stałem się ja i wszyscy widowie tego przedstawienia obiektem kpiny? Cytuję ostatnie słowa spektaklu:

– Słuchajcie, nie czarujmy się. To tylko teatr, w dodatku opowiadający o minionych czasach.

Oniemiałem ze zdumienia. Oto przykład podcięcia gałęzi, na której cały spektakl misternie zbudowano? **To tylko teatr?** Czyli, co? Teatr – to nic? A opowiadanie o minionych czasach – to lipa?

I dalej:

Ale jak może wicie historia lubi zataczać koło i podobne sceny dzieją się dziś w wielu miejscach na świecie. Mówiłem, że w moim scenariuszu nie będzie miejsca na magię. No ale później przekonałem się, że jednak pewien rodzaj magii istnieje – to talenty, pasje, przyjaźnie. Warto poszukać ich w sobie i w tym przedziwnym świecie. A historia to nie tylko opowieść, o której czytamy w podręcznikach. To rzeczywistość, która dzieje się tu i teraz. I tylko od nas zależy, jak się w niej zapiszemy.



Żadne wysiłki łagodzenia wymowy tego „mrugnięcia okiem” do widza nie zmienia chemii, jaka rodzi się w umysłowości odbiorcy po stwierdzeniu...

To tylko teatr...

Po tych słowach Michała, głównego bohatera sztuki – zapadła cisza.

- *Koniec?* – scenicznym szeptem zapytała koleżankę siedzącą przede mną smartfonczyni.
- *Chyba tak* – potwierdziła tamta, nie odrywając wzorku od telefonu.

Owacje trwały dwadzieścia siedem sekund. Spektakl 75 minut.

Znowu w foyer

- Wrażenia?
- No, było ciekawe. Chodziło o to, żeby pokazać, jak naprawdę wygląda życie w domu dziecka, a wszystko się działo wtedy jak wybuchła druga wojna światowa.
- Druga?
- Nie... Ogólnie... Chodziło o to, żeby pokazać, jak się trudno



żyło w tamtych czasach. Jak było podczas wojny. I, że trzeba cenić rzeczy, które się ma, bo może...

- ???
- No, bo może przyjąć moment, że się nie będzie miało tych rzeczy.
- Ale – pytam z niedowierzaniem – wojna?
- No, to chyba był stan wojenny – sufluje jedna z uczennic.
- A co to jest stan wojenny?
- Takie... że jest zagrożenie... dla innych, mieszkańców... kraju...
- I wszyscy żołnierze wyszli na ulice, w razie ataku jakiegoś.

Poziom wzajemnego zakłopotania rośnie podczas tej wymiany zdań i opinii. Stoimy pośród rozbieganej publiczności, która szuka swoich klas i wychowawców. Dziewczęta krążą wzrokiem po pełnym rekwizytów teatralnym foyer.

- Co to jest choroba sieroca?
- ???
- Co to jest trabant?
- ???
- Co to jest Pewex? – obawiam się, że znów nie usłyszę odpowiedzi.
- To był sklep, w którym można było kupić różne rzeczy zagraniczne.
- Co to jest Solidarność?

- Że wszyscy, no, że chcą pokonać tych złych, żeby mieli prawo głosu, i w ogóle.

- Co to jest związek zawodowy?
- ???
- Kim był Lech Wałęsa?
- Prezydent Polski. Zginął. W katastrofie smoleńskiej. Chyba. Jak samolot zestrzelili.
- Kartki na proszek?
- Z tego co zrozumiałam, to były jakieś promocje i przez te kartki ludzie mogli kupić coś na zapas.
- Nie, to było, że się raz w miesiącu dostawało takie kartki, na daną ilość produktu jaką można było kupić.
- I na mydło...
- Co znaczy oma i opa?
- Dziadek i babcia. Po śląsku.
- Dębowy Las?
- To było to miejsce, gdzie był ten dom dziecka, tak?
- Różnił się od innych?
- Że tam trafiały dzieci, które miały za sobą ciężkie przeżycia. Związane na przykład z rodzicami. Na przykład – stracili rodziców.
- A dom towarowy?
- Tam były takie różne sklepy, gdzie się tam kupowało te różne rzeczy. Na kartki.
- Dzisiaj mamy domy towarowe?
- No, dziś są galerie.

- „Balladyna” Słowackiego?
- Książka? Lektura? – moje rozmówczynie przez chwilę się naradzają.
- Teatr jest iluzją – odczytuję kolejne hasło z mojej listy zwrotów i pojęć ze scenariusza sztuki.
- Wszystko co widzimy w teatrze to każdy może to sobie inaczej wyobrazić. I każdy zrozumie to tak jak będzie chciał.
- Szekspir i Czechow?
- Znani psiarze. Szekspir napisał na przykład Romeo i Julię.
- Polska Rzeczpospolita Ludowa?
- Tak się chyba nazywała Polska w tamtych czasach.
- To nie jest ta sama Polska, jaką mamy dzisiaj?
- Nie.
- Ja wiem. Bo to wtedy była połączona z Litwą. Rzeczpospolita Obojga Narodów.
- Podziemie?
- To chyba chodzi o piwnice?
- Jakiś schron? Na przykład? – dodaje półgłosem dziewczyna, która do tej pory milczała.
- W sztuce mowa była o ludziach, którzy działają w podziemiu... – podpowiadam.
- A tak, tak, żeby nikt nie widział, o co chodzi – błyskotliwie włącza się do rozmowy jeszcze jedna z „milczek”.
- Bohater tej sztuki woła: Polska jest wolnym krajem. Polska nie była kiedyś wolnym krajem?
- No nie, bo kupowało się wszystko na kartki. I ogólnie wszystko było ograniczone.
- Wolność zależy od tego czy są kartki?
- No, nie, bo wtedy rząd decydował sam, a teraz jest demokracja i każdy decyduje, na przykład jak się wybiera, to każdy decyduje. Kiedyś to tylko rząd głosował, a teraz głosują wszyscy.
- Hans Kloss?
- ???
- To chyba też jakiś pisarz.
- Bohater spektaklu pyta sąsiadkę: czy moja mama (zginęła w wypadku) była wesoła? Czy tak brzmi najważniejsze pytanie dziecka, gdy pyta o swoją mamę?
- No, nie wiem...

- Kto jest przystojny?
- Marcel! – odpowiedziały chórem.
- Kto to jest?
- Najstarszy chłopak z domu dziecka.
- Co to znaczy: być przystojnym?
- Być atrakcyjnym, ładnym.
- W klasie – ilu macie przystojniaków?
- Zero! – ten sam chórek.
- A w starszych klasach są przystojniacy?
- Trochę.
- Wywołać emocje.
- To znaczy, że wczuć się w jakąś rolę, i żeby ktoś, kto ogląda, to przedstawienie, żeby poczuł to samo, co czuje osoba grająca.
- Fantomas i Scotland Yard?
- To Marcel opowiadał fragment tego filmu, żeby dostać się do przedstawienia przygotowywanego (w domu dziecka) przez Agnieszkę.
- W którym momencie spektaklu poczułyście nudę...
- W żadnym!
- A najfajniejszy moment?
- Jak Iza śpiewała. („Wszystko, czego dziś chcę” Izabeli Trojanowskiej)
- Za mało muzyki?
- Tak!!!

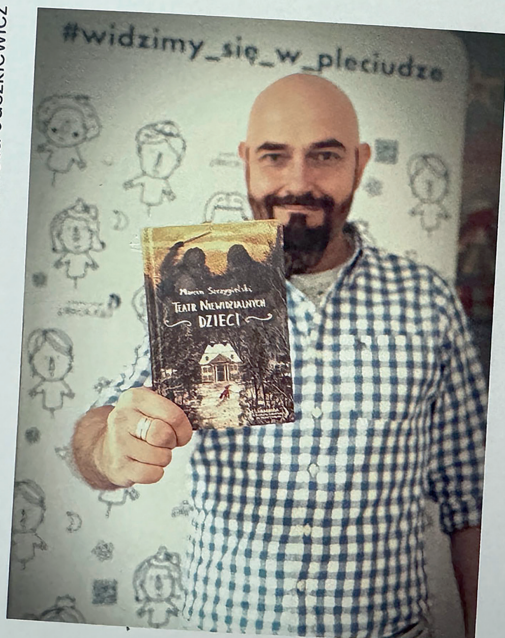
Daria, Lena, Natalia, Tosia, szkoła 3x, sportowa, szósta X.

Dobrze, jeśli treść felietonu „spina” klamra, czyli zakończenie tekstu nawiązuje do jego początku. Ja zrobię klamrę odwrotną. Początek spektaklu zacytuję na końcu tego felietonu. Zaczęłam go pisać w pewnym sensie – od końca. Bo tak silne wrażenie zrobiło na mnie ostatnie słowo Michała, cytowane powyżej. W jego kontekście zupełnie „poważnie” zabrzmiał początek sztuki, który – prawdę mówiąc – trochę zlekceważyłem, uznając go za przejaw pewnej nonszalancji, dezynwoltury, może prowokacji?

Michał, główny bohater przedstawienia przywitał nas nie jako Michał, ale jako Autor scenariusza. Cytuję z pamięci:

– mówi Marcin Szczygielski w rozmowie z Niną Tomaszewską.

fot. Żaneta Juszkiewicz



dy byłem już dorosłym człowiekiem, uświadomiłem sobie, że nie powstała jeszcze żadna większa książka skierowana do młodszej odbiorcy, która by o tym opowiadała, a to przecież ważny moment w naszej historii. Po-
stanowiłem nadrobić ten brak. Przy okazji pracy nad „Teatrem Niewidzialnych Dzieci” postanowiłem też opowiedzieć o dziedzinie sztuki, która jest dla mnie bardzo ważna, o teatrze właśnie – odpowiedzieć na pytanie czym on jest i dlaczego jest tak istotny w naszym życiu.

Jak Pan się czuje z tym, że „Teatr Niewidzialnych Dzieci” trafi na deski

w rękach
gle żyje,
parę lat
okazję fu
go dziec

**Co pan
w Szczec**

Zanim w
się do Sz
wakacje.
rego wiel
książkach
miesięci jest
śnie dzięki
które tu pr
mieszkali
trochę kon
z dziecięc
się wielki. U
nych warzy
przeby

Ja bardzo państwa przepraszam, ale ja jestem tylko pisarzem, ja nie jestem aktorem i chciałem powiedzieć tylko, że wszystko co się tutaj dzieje to jest jeden wielki cyrk... (...) To co zaraz zobaczycie, to jest pierwszy scenariusz jaki ja w życiu napisałem i nie spodziewajcie się, że on będzie miał ręce i nogi i że zobaczycie tutaj jakieś czary i wróżki, jednorożce, takie tam sprawy. Ja w ogóle kiedyś nie wierzyłem w czary. Bo tam, gdzie mieszkałem, czy można było wierzyć w czary? Nie.

Tę swego rodzaju inwokację zrazu uznałem – za kokieteryę lub nie do końca przemyślany żart, takie „kumplowanie się” z widownią. Nie sądziłem, że po przedstawieniu będę musiał przyznać narratorowi... sporo racji. Przedstawianie niewątpliwie miało i ręce, i nogi, ale te chyba się miejscami ze sobą zamieniły.

„Teatr niewidzialnych dzieci” – niedokończona opowieść o domu dziecka i ledwie rozpoczęta historia o stanie wojennym, widzianym okiem tego dziecka, którego społeczne dojrzewanie przebiega w wariacie alternatywnym.

Najważniejsze – na końcu

Tematem tej sztuki był sam teatr. Był, miał być, chciał być? Jej autor w cytowanym także wywiadzie dla redakcji „Gabita” (nieregularna gazeta wydawana przez Teatr „Pleciuga”) zdradził, że jego celem było zmierzyć się z mocą i możliwościami teatru. Swoim bohaterem wyznaczył zadanie – mają utworzyć teatr w domu dziecka.

Teatr w teatrze, teatr za kurtyną z koca, zawieszzonego na oparciach krzesła...

Teatr jest dla dziecka pierwszą, bezwzględnie poważną obecnością w sztuce. My, rodzice jesteśmy pierwszymi aktorami/widzami. Pokazujemy dziecku nasze emocje. Ono – reaguje na nie i otrzymuje od nas potwierdzenie. Tak, śmieje się, baw, bądź radosny i czuj się bezpieczny! Przed kim stroimy równie „idiotyczne” miny jak nie przed dziećmi? Proszę w czasie ważnej konferencji spróbować podobnie zachować się wobec szefa waszej korporacji. Doradzam, naprawdę! Wtedy zobaczycie, jakim on był dzieckiem.

Jakim stał się dorosłym.

A teatr o robieniu teatru? Przecież to jest najlepszy temat! Czyż poznawanie magii i jej rozsiewanie nie jest misją dramaturgii dla młodego widza? Aby on uczył się, jak skutecznie odróżniać fikcję od życia, żeby rzeźbić prawdę, a w konsekwencji nią właśnie, a nie magią kierować się w życiu.

Bo jaka korzyść płynie z pokazania młodej „widziarni” różnych migawek z codzienności w domu dziecka? A jaki oręż damy im mówiąc o stanie wojennym na poziome zaprezentowanym w „Teatrze niewidzialnych dzieci”? Teatr niech nie indoktrynuje – powtórzę – a pokazuje możliwość dzielenia każdego koloru na wszystkie jego odcienie. A tych jest nieskończona ilość. Niech teatr w oprawkach okularów osadza szkła tolerancji, zrozumienia, empatii i miłości. Tak. Właśnie miłości! Ta jest produktem alchemii sztuki.

O taką chemię bardzo Państwa z Teatru proszę.

Spektakl szczeciński jest najprawdopodobniej jedyną inscenizacją tej sztuki.

Zespół:

reżyseria: Przemysław Jaszczyk; tekst Marcin Szczypiński; adaptacja Magdalena Miklasz; scenografia, kostiumy, lalki Klaudia Laszczyk; muzyka Rafał Ryterski; projekcje Aneta Wawrzół, Grzegorz Habryn; reżyseria światła Monika Sidor

Obsada:

Maja Bartlewska, Rafał Hajdukiewicz, Aleks Joński, Mirek Kucharski, Paulina Lenart/Gabriela Gola, Marta Łągiewka, Edyta Niewińska-Van der Moeren

Fot: Teatr „Pleciuga”

Recenzja spektaklu przygotowanego na 70. lecie Pleciugi spotkała się z krytyczną oceną dyrektora Teatru, pana Tomasza Lewandowskiego.

Rozmawialiśmy o tym spektaklu pod koniec lata 2024 roku. Umówiliśmy się na kolejną rozmowę, za dwa tygodnie, które dziś urosły do prawie trzech miesięcy. Teatr przygotowywał się na wyjazd z tym spektaklem na festiwal. Nie dowiedziałem się jednak, na który i czy osiągnął sukces.

Przygotowałem kolejne teksty poświęcone materii tego przedstawienia i kwestiom związanym z rolą edukacyjną dramaturgii dziecięcej.

Oto linki:

[Teatr niedocenionych dzieci](#)

[Teatr niedocenionych dzieci część druga](#)

Pracuję nad kolejnym materiałem, który merytorycznie nie wniesie nic nowego w zakresie pomysłu na lekcje poświęcone stanowi wojennemu. Szukam w nim odpowiedzi, dlaczego rzekomo doskonały materiał „Teatru niewidzialnych dzieci” nie zyskał zainteresowania ze strony innych teatrów dla młodych widzów? Nikt także, poza Teatrem Kamienica, nie wystawił przygotowanego tam spektaklu „Wroniec”, który - *nie zastąpi porządnej lekcji historii. Zamiast stanu wojennego tem wydarzeń i źródłem motywów mogłaby być tu dowolna inna katastrofa (np. Powstanie Warszawskie).* – pisała Joanna Derkaczew, Gazeta Wyborcza, 15-12-2010.

Stan wojenny, ze wszystkimi jego konsekwencjami, ale przede wszystkim ten moment w historii kraju albo już stracił całkowicie swoją moc i znaczenie dla obecnego pokolenia, albo nie ma w sobie żadnych „walorów dramaturgicznych”, by stać się kanwą teatru – a więc obrazu nas, oglądanych przez nas samych.



Nikt nas do siebie nie zbliży bardziej niż... obcy człowiek

Współczesny moralitet z efektownym finałem w stylu Jamesa Bonda, ale z Louisem de Funèsem w roli głównej

„Gość-inność” - to tytuł sztuki Petera Turriniego, austriackiego dramaturga o imponującym dorobku literackim, poety, dziennikarza, a nade wszystko - prowokatora. Tytuł inscenizacji przygotowanej na jubileusz czterdziestolecia pracy artystycznej małżeństwa Małgorzaty Chryc-Filary i Zbigniewa Filarego zapowiada gęstą materię dramatu, który w wymiarze scenicznym – jest wręcz ascetyczny. Umówmy się więc, że, jak w stopniowaniu przymiotników - uznamy tę tytułową grę słów za poziom pierwszy na nieskończenie długiej liście współczesnych form relacji między ludźmi. Bo – zapewniam – łączy nas dokładnie tak wiele – ile zarazem dzieli. Bilans wychodzi na zero. Nie, nie! To zdanie nie jest figurą retoryczną.

Polak – pierwszy obywatel świata

Łączy nas milion spraw, ale na krótko;
dzieli – wszystko, i to na zawsze.

Realizatorzy kameralnej w obsadzie i oszczędnej w scenografii, wracającej na scenę Sali Włoskiej jeszcze grudniowej (2023) premiery w Teatrze Polskim w Szczecinie (troje aktorów oraz m.in. kilka modeli samolotów, shaker, list - niedoręczony adresatce od czterdziestu lat i poduszka pod głowę) zdecydowali się na tytuł „gość-inność” dlatego, że pojęcie „gość-jedność” jest ... jakieś takie niepolskie. Z samym „gościem” – też mam problem. A mówiąc wprost - my, Polacy, mamy z tym słowem problem. I nie idzie tu o kwestię językową, ale sferę mentalną, obyczajową, a przede wszystkim – aż strach przywołać tu słowo: ksenofobiczną. I dlatego, od razu, sami sobie, wyjaśnijmy tę sprawę raz na zawsze: my ksenofobami nie jesteśmy. Absolutnie! No, może, poza przypadkiem, gdy jakiś gość ośmieli się podważyć naszą boską wyjątkowość. Wtedy Wiedeń czy Raławice, a przede wszystkim Grunwald, będzie niewinną potyczką wobec determinacji z jaką wystąpimy w obronie naszego honoru, czci i chwały.

Polak to synonim pomazańca Bożego, sprawiedliwszy od archaniołów.

I tu pojawia się pierwszy problem. Turrini zatytułował swoją Volksstück - „Fremdenzimmer” – pokój gościnny. W niemieckiej tradycji terminem Volksstück określa się przedstawienie

dedykowane dla szerokich mas prostych widzów. W odróżnieniu od barokowych komedii – sztuka z tej kategorii odnosi się do problemów większości z nas. Zestawienie tych dwóch tytułów dla jednej sztuki („Pokój gościnny” versus „Gość-inność”) pokazuje, jak można wpływać, ukierunkować odbiór przesłania przedstawienia, interpretację dramatu. Oto przykład wręcz akademicki!

Innymi słowy – za cenę jednego biletu ma widz możliwość obejrzenia jakby dwóch sztuk, z inscenizacyjnego poziomu identycznych, ale w wymowie i napięciu intelektualnym – jednak różnych. Wystarczy wybrać tytuł, a interpretacja, jak pęk bierok rzuconych na stół, sama ułoży się w misterną konstrukcję myślową.

Odwróci się człowiek na chwilę, a tu uchodźca już jest w domu

Tak, tak było. Do mieszkania, którego właścicielem jest Heniek, żyjący bez ślubu z Bašką, barmanką, której Heniek przez lata i do znudzenia zadawał pytanie, czy z nim zamieszka (wystarczy, żeby kupowała jedzenie, bo on opłaci rachunki za prąd) – wszedł uchodźca. Samir. To, że wokół domu rozbłyskiwały niebieskie światła, a powietrze przeszywały syreny policyjnych wozów, być może ścigających kogoś... niebezpiecznego, nie miało dla pary emerytów najmniejszego znaczenia. Do tego momentu wiedli oni życie podobne do tramwaju, który przestał już marzyć o tym, by choć raz mógł skręcić w ulicę, która nie miała torów.

Ci starzejący się ludzie z każdym dniem stawali się już tylko meblami w ich własnym mieszkaniu. Od mebli odróżniały ich nawyki, przyzwyczajenia i nałogi oraz wszechogarniająca, wzajemna zręczliwość. I nagle, w obecności nieznanego Syryjczyka, nasi bohaterowie, te ludzkie rekwizyty ... zaczęły ze sobą rozmawiać! Przez lata toczyli wzajemne wojny, ale w milczeniu! Rozpamiętywali błędy, w nieskończoność powta-

rzali pretensje, aż tu nagle – taki gość! Uciekinier, uchodźca, może nawet – wróg! Po polsku – nie zna ani jednego słowa. Po angielsku – też ni w ząb. Tak zresztą jak Baška i Heniek. Więc jak się mieli nie polubić?

Zabawne, dowcipnie i tak typowo po polsku ułożone dialogi wywołały wesołość widowni, która z niczego nie śmieje się tak serdecznie jak z samej siebie!

Tak, stary Falstaffie, miałeś rację!

Różnimy się tym, czym sami chcemy. To nasz wybór

- Powiedz mu, że ma się stąd wynieść!
- On zostaje! – Baška tym stwierdzeniem niemalże usynowiła uchodźcę, dając mu koszulkę jej syna, który wyszedł z domu, gdy miał siedemnaście lat i od czterech dziesięcioleci nie wraca do matki. To dla niego Heniek miał trzymać ów gościnny pokój, z oryginalnego tytułu sztuki.

Turrini – jak sam podkreśla – posługuje się w swoich utworach przerysowaniem budowanych sytuacji, charakterów, rozwiązań. Jego dramaty tłumaczone na trzydzieści języków, chętnie wystawiane na scenach prestiżowych teatrów, snują swe opowieści na ponadnarodowej kanwie, adoptując jedynie lokalne kolory i subtelności.

Jestem przekonany, że szczecińska Baška i Heniek odnajdą się w tym tekście równie dobrze jak Barbra and Henry lub Herta und Heinrich. I tylko nie mam pewności co do... Samira, uchodźcy z Syrii. Jak on zaadoptuje się w kulturowo odrębnym świecie gospodarzy? Podpowiem, że pozytywnie, ale jak konkretnie – to warto zobaczyć.



Gość, obcy... wróg – czy to „polskie” synonimy?

Nie lubię, gdy sprawy od dziesięcioleci uporządkowane, jasne i niebudzące wątpliwości nagle domagają się weryfikacji. No przecież po raz drugi nie będę czytał „Obcego” Alberta Camusa. I co z tego, że noblista, że egzystencjalista i autorytet? A ja, albo ty - to niby kto? Swoje wiemy! Obcy jest obcy. A postaci, przechera, przybiera różne. Bo czym w istocie różnią się obcy? Ten kosmiczny z filmowej trylogii „Alien” i ten emigrant z „Łuku triumfalnego”, który w Paryżu, na chwilę przed wybuchem drugiej wojny światowej, chce w jedną noc, spowiedzią z całego swojego życia zrozumieć świat?

Nie, wszyscy obcy nie manifestują wrogości wobec nas. Oni przede wszystkim nas nie rozumieją. I wzajemnie! Z braku zrozumienia rodzi się brak szacunku. A brak szacunku zmniejsza szansę na porozumienie. Jedni kipią żądzą unicestwienia innych.

Ale świat to nie domek z drewnianych klocków. Ten - zburzony – da się szybko odbudować. Naszego kołtuństwa nic z posad nie ruszy. To prawda druga, w jaką spektakl ten mnie uzbroidł.

Kim jest obcy? Co dziś znaczy: obcy. Czy bliscy mogą być zarazem obcy?

Jest takie opowiadanie, zapewne Cechowa... Baba osłabła. Bo i czas na nią przyszedł. Chłop zrozumiał, że powinien babę zawieźć do doktora. Ani babę pytał, ani ona o cokolwiek prosiła... Zaprzął konie. Przez całe życie ze sobą nie rozmawiali. Bo o czym tu gadać. Każdy robił swoje. Ona rodziła i karmiła, on płodził i zbierał. Uzupełniali się jak dwie łyżeczki. I nagle, tak nieoczekiwanie, bez uprzedzenia mieliby się pożegnać? Co za ból! Jaka męka! No jakże to teraz miałoby być? On znał życie tylko u boku baby. Proszę? Miłość? A co to takiego? Baba nigdy o czymś takim nie wspominała. Chłop też nie był gadułą.

Jak to człowiek nie wie, czym dobry Bóg go zaskoczy

Baśka i Heniek. Była barmanka i były listonosz, zamieszkali razem. A czemużby nie? Żeby razem mieszkać nie trzeba się kochać. Można. Ale to nie jest konieczne. I mieszkali sobie razem, żyjąc osobno. Ona kpiła z jego męskości, on twierdził, że ona od rana pije. Nie patrzyli sobie w oczy, nie jadal kolacji przy świecach, nie mieli wspólnych dzieci. Związek jakich setki.

Można o Baśce i Heńku powiedzieć wszystko, ale nie to, że byli sobie obcy! Nikt ich nie pytał, a sami w sobie też nie znajdowali potrzeby, aby rozpowiadać się po ludziach, że jedno nie byłoby w stanie żyć bez drugiego. I tylko marzenia, te skryte, mieli niezmiennie piękne i prawdziwsze niż ich zapomniana już młodość. On pragnął znów usiąść przy stoliku i patrzeć na nią, krzątającą się przy barze. To pragnienie było na tyle silne, że wreszcie złamało jego sercową gnuśność i emocjonalną niepełnosprawność. Powiedział jej o tym. Kiedy? No właśnie... To jeden z kluczowych momentów spektaklu, a tych jest w tej sztuce tak dużo, ile kas pancernych w śnie włamywacza. Ten, każdą z nich otwiera w ostatniej chwili, tuż przed wschodem słońca.

Akcja sztuki rozkręca się w tempie lontu prowadzącego do arsenału wypełnionego emocjonalnym dynamitem. Obfituje w „miniaturowe miniaturki” inscenizacyjne, zamykające się w zdaniu i geście, dwóch spojrzeniach i chrząknięciu, z wielkim wyczuciem i prawdą przez Małgorzatę Chryc-Filary i Zbigniewa Filarego garściami sypane.

Ile trzeba mieć w sobie wiedzy o życiu, a zarazem kunsztu aktorskiego, by teatr zamieniać w życie.

Gra w trzy kubki...

Każdy ją zna. Każdy z nas jest inną kulą w tej grze. W zależności od tego, pod którym kubkiem się znajdziemy, taki zestaw wartości w sobie aktywujemy. A kubki to gość, obcy... wróg.

O akcji tej sztuki słowa więcej nie powiem. Jednej sceny pominąć jednak nie mogę. Sądzę, że wypłynęła z natury Małgorzaty Chryc-Filary, także asystentki reżysera spektaklu.

Samir, oszołomiony rozwojem wypadków, dotychczas nieustannie nerwowo reagujący na coraz to zbliżające się do mieszkania emerytów syreny wozów policyjnych, posmakowawszy - być może pierwszy raz w życiu - alkoholu, porwany przeplatającą się muzyką jego świata z dźwiękami piosenki Baśki – usypia. I co robi Baśka? Nie powiem, bo to jeden z tych gestów, który w cień odsuwa wszystkie spory semantyczne, kreślenie różnic między obcym, gościem i wrogiem. Zwykły i nadzwyczajny zarazem gest. Najtrudniejszy do wykonania.

Na tle tego gestu kładę wspomnienie setek tysięcy ukraińskich matek z dziećmi, które nie tak dawno ruszyły do Polski. My zjednoczyliśmy się wtedy bez warunków wstępnych i bez ograniczeń. W tym samym czasie, nieopodal, wzdłuż innej granicy, potrafiliśmy zamarzającą w locie wodą z policyjnych armatek strącać z drutów kolczastych braci Samira, uciekinierów, skazywaliśmy ich na beznadziejne próby przepłynięcia granicznej rzeki lub po zdjęciu z drutów kolczastych tych z połamanymi nogami – wypychaliśmy „obcych” byle tylko dalej od nas.

To też przykład lub dowód naszej „gość-inności”.



Modlitwa o...

I choć zakończenie przedstawienia jest wprost niewiarygodne i brawurowe, to na dnie duszy dostrzegłem jakby... refleks, błysk, może nawet światło. I wyobraziłem sobie – jakąś festiwalową scenę ze szczecińską „Gość-innością” w programie, gdy zza kulisy dobiega muzyczne wprowadzenie, tak oczywiste i rozpoznawalne, zawsze wzruszające i porywające. Na jego tle głos jedyny w swoim rodzaju, głos pani Krystyny Prońko, która pojawia się na scenie, zaczyna śpiewać swoją „Modlitwę o miłość prawdziwą” w duecie z Baską! Modlitwa płynie do nieba, a na ziemi, pośród nas pozostaje jej echo, zrazu przyciszone, coraz bardziej subtelne, zmęczone udręką, ale nie pozbawione nadziei wypływającej z kojącego głosu Małgorzaty Chryc-Filary, śpiewającej tę modlitwę, wspartej o ramię Heńka, Zbigniewa Filarego.

Tak mi się marzy... Może wtedy ożyłyby treścią i przekazem tak bardzo zapomniane, że aż wręcz nieprawdziwe słowa Wincentego Pola...

Gość-inność

autor: Peter Turrini, przekład: Karolina Bikont,
reżyseria: Bartłomiej Wyszomirski,
scenografia: Iza Toroniewicz,
choreografia: Jarosław Staniek, Katarzyna Zielonka,
animacje: Michał Charko,
asystent reżysera: Małgorzata Chryc - Filary
Premiera: 2 grudnia 2023,

Obsada:

Baśka - Małgorzata Chryc-Filary,
Heńka - Zbigniew Filary,
Samir - Karol Olszewski
Fotografie: Teatr Polski

Ledwo człek by czasem wierzył,
Dom niewielki - wtem gość wchodzi:
Ot i domek się rozszerzył
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty
I nie ciasno jest nikomu:
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w małym domu;
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha, choć uboga,
Chociaż niska, przecież bliska,
Dla obcego i dla swego
I od Boga aż do wroga
Jest tu miejsce dla każdego.

- Ale... gdzie? – zapytam.

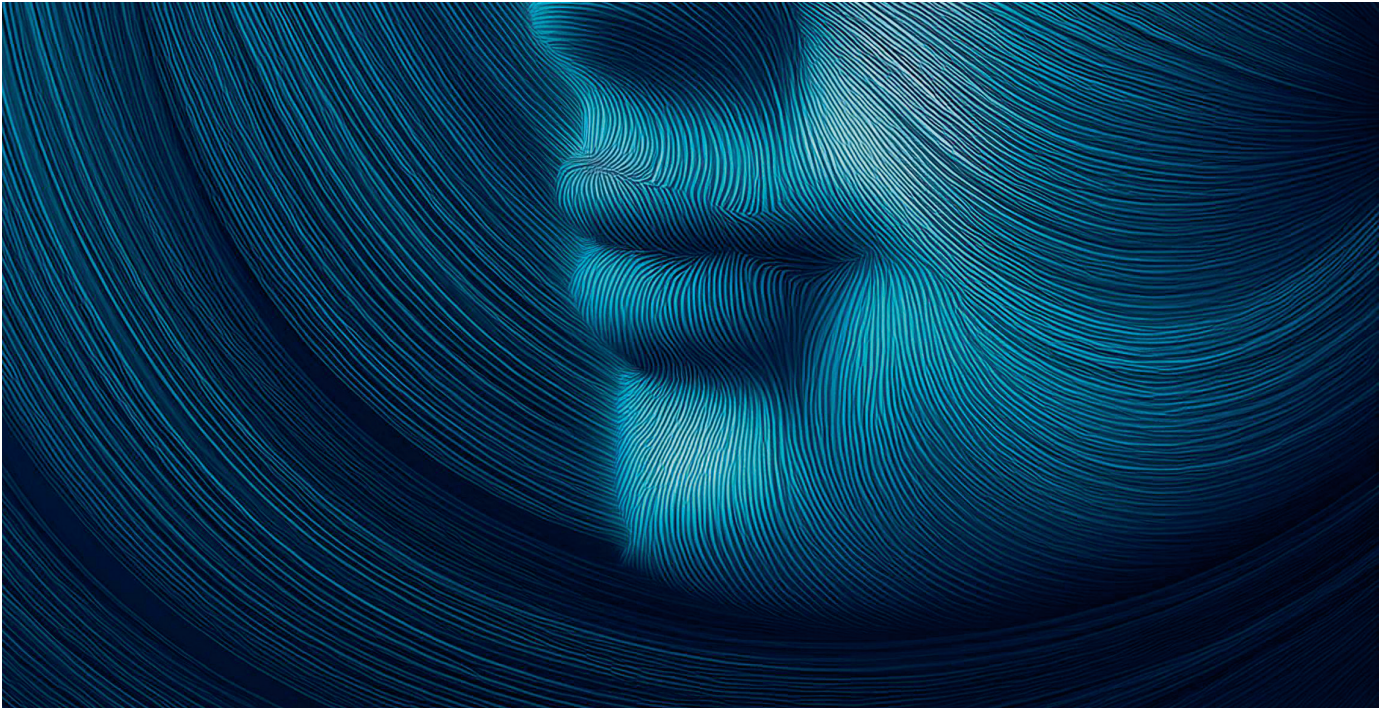
- No właśnie... - odpowiem.

Kurtyna.

P.s. Przed szatnią stanąłem w kolejce widzów, wyjątkowo małymównych, w odróżnieniu od atmosfery po innych spektaklach.

Nie przychodzę do teatru by śledzić losy bohaterów. Idę by ich losy uruchomiły teatr w mojej głowie. A ten nazywa się Życie. Sytuacje sceniczne, konflikty, typy bohaterów – krew lejąca się strumieniami, miłosne uniesienia czy odruchy wstrętu – to właśnie hartowanie i kształtowanie, pobudzanie lub uspokajanie duszy, która musi być gotowa na reakcję wobec każdego w jej stronę wymierzonego gestu. Ot, choćby takiej nieoczekiwanej wizyty gościa, uchodźcy, wroga, a może... posłańca?





Raport Woźnego

Data: 16 stycznia 2023 lub kiedykolwiek indziej.

Miejsce: Korytarz, a więc miejsce najważniejsze, czyli (prawie) wszędzie.

Osoby:

Mężczyzna - w każdym wieku, ale z braku któregośkolwiek na podorędziu - nieobecny.

Skulisko - niekiedy nawet w obecności nieobecne.

Pani

Woźny

Kłamstwo źródłem prawdy

(urywki)

- Proszę pana... Wystarczy... skłamać.

Hm... Szanuję rozwiązania definitywne. Inna rzecz – czy je lubię i akceptuję.

Kobieta nawet na mnie nie spojrzała. Nie zadbała o przygotowanie odpowiedniego klimatu dla wyznania tak szokującego. Nie liczyłem też na budowanie atmosfery oczekiwania, jakiejś nerwowości, emocji, jak przed otwarciem tajnej koperty, zawierającej sekret, który byłby w stanie przez długi czas zaprzętać moją uwagę. Swoją sekretnością, bo nie treścią wyznania, którego tajemnicy, rzecz oczywista – nie znałem – zainteresowała mnie na tyle, że wskazałem jej krzesło by usiadła. Ona zdobyła się jedynie na wymuszony uśmiech, właściwie grymas i mylące, kamuflujące istotę jej gry prostowanie frędzelków przy chuście, którą przed chwilą zarzuciła na swoje drobne, lekko już księżycowe plecy.

- Oj, oj, od razu – brzydkie słowo, paskudne. A „kochanie” to niby ładne? No? Potrafi pan to wyjaśnić? Dlaczego bicie się w pierś i wytrzeszczanie oczu z zapewnieniem w formie kasandrycznego okrzyku daje nam definitywne świadectwo o człowieku uczciwym? O, o... Już się pan będzie buntował. Najpierw obruszył się pan na kłamstwo, teraz uczciwość pana mierzi czy może irytuje...? Mężczyźni... Może do listy swoich oskarżeń doda pan jeszcze obłudę, interesowność albo przynajmniej podstęp? Jest pan jak wszyscy inni, niemal wszyscy... Tak powiedziałby człowiek zakłamywany, ale ja zdradzę panu, że uczciwi są tylko ci, którzy jeszcze się nie zorientowali, że cały świat kłamie. Oni sami też kłamią, tylko o tym nie wiedzą, bo nie uświadamiają sobie, że są tacy sami jak inni i tylko wydaje im się, że są wyjątkowi. Swołocz, wszystko, irunda... Cały świat. Bez wyjątku. Kłamstwo to energia nas wszystkich. Bez kłamstwa już dawno ślad po nas by zagaśniał. Kości dinozaurów przetrwały, bo te biedaczyska nie potrafiły kłamać!

Mówiła spokojnie, lekko nawet moderowała głos zniżając go, ocierając się niekiedy nawet o sceniczny szept... A przy tym wykonywała mnóstwo czynności, jak rozbudzona ośmiornica, która wiruje w mętnej wodzie własnych wywodów. Pięknie wyglądają te jej płąsy, za którymi ja, nieprzejednany sceptyk, z przyjemnością zaczynałem wodzić wzrokiem. A to dotknie guziczek przy sweterku, palcem przejedzie po szwie na spodnicy, dłonią obejmie kolano w chwili, gdy druga ręka, uchwyciwszy pukiel włosów spróbuje unieść je w górę, oczywiście bezskutecznie. Włosy swobodnie opadają więc na ramiona. Potem przestawiła torebkę, apaszkę zwinęła w krokciek, uchwyciła wisiorek, a całą sekwencję zakończyła wygięciem palców obu dłoni tak, jakby stawiała je na baczność, do raportu!

- Proszę pana... Byłam na dnie. Niech pan nie pyta, jak tam jest. Nic nie pomagało. Wręcz każda próba pocieszenia, a klepięcie w ramię szczególnie – wszystko to dobiegało mnie do końca. I wtedy – olśnienie... Wnuczek pokazał mi nowy piórnik. W nim – pisak wymazujący pomyłki... W y m a z u j ą c y... Czyli wracamy do pustej kartki? A na takiej możemy napisać coś innym kolorem, narysować, ba, namalować? A wiesz, mój żołnierzyku, babcia miała jeszcze lepszy pisak - mówię. Tak? A jaki? A taki, że czarne robiło się kolorowe. Samo? No, wystarczyło tylko pomyśleć, czy ma być żółte czy może niebieskie? Ale ja lubię czerwone – upierał się mój wnuczek. Dobrze – wystarczy, żebyś pomyślał i powiedział: niech będzie czerwone. Dobra, mówię: czerwone! Ale zobacz, babciu, nie chce. Zrobiłem kreskę, ale ona ciągle jest czarna...

Miała dar opowiadania. To taki sos, z wyglądu „mało nieciekawych”, ale - gdy spróbujesz - docenisz ile aromatów kryje w sobie i jakie obiecuje smaki!

- To był najpiękniejszy moment w moim życiu... Wtedy, gdy odkryłam tę cudowną umiejętność korygowania, naprawiania, kolorowania świata, który ze swej natury jest zgorzeliną, spalenizną bezkształtnie zwęglonych nadziei i przekonań. Zrozumiałam - postępować trzeba – no właśnie – uczciwie, prostolinijnie i konsekwentnie, ale najlepiej – kolorowo.

Wyprostowała się, zakręciła dwa kółka i stanęła przede mną w pozie klasycznego *pas*. Lewa noga lekko zgięta w kolanie, prawa nienaturalnie wręcz wyprostowana i cofnięta do tyłu. Ten układ uwydatnił kształt bioder, a przede wszystkim ukazał biust, którego nie było dotąd widać spod tej wzorzystej chusty. Szyja jakby się wydłużyła, podbródek wystrzył, nosk zmalał, a oczy... Oczy syknęły seksapilem.

- Tylko proszę nie mówić, że jestem ładna. To nie tak działa. Ja znam siebie bardzo dobrze i nie pozwoliłabym komukolwiek tak prosto mnie oszukać. Zaczęłam od tego, że podałam w wątpliwość moją brzydotę. Bo jestem brzydka. Sam pan widzi. O, zmarszczki, a tu bruzdy, tam otłuszczenie i ach, już nie będę siebie sama deprymowała – garbię się okropnie. Więc powiedziałam: nie jestem najpiękniejsza. Logicznie to tyle samo co brzydka, a brzmi jednak inaczej. Potem dodałam – te nogi są nawet całkiem, całkiem... Poszłam do szafy, zaczęłam się przebierać, po każdej nowej konfiguracji dodawałam kreskę, podkreślałam brew, sięgnęłam po lakier, którego normalnie nigdy bym nie położyła na paznokcie. W głowie zrobił się kolorowy zamęt. Jeden pomysł ścigał się z drugim. Minęła godzina, dwie a ja była w coraz lepszym humorze. Jak tak dalej pójdzie – wygram konkurs miss! Żeby pan widział, jak się wtedy uśmieiałam...

Hm... rzeczywiście – jak tylko tu weszła – Skulisko jakby się bardziej sfilcowało, wgrzebało w siebie tak, jak już chyba nic bardziej skłębic się nie może. Przesunęło się w głąb Korytara, gdzie jeszcze nie wiem, co się znajduje? Jeśli w ogóle cokolwiek.

Teraz patrzyłem na kobietę zadowoloną, pogodną, pełną dobrej energii. Wystarczyło jedno małe, wcale niegroźne i nikomu nic nie szkodzące kłamstewko. No, niech będzie – korekta prawdy. Choinka bożonarodzeniowa pachnie i jest jaka jest. Ale wystarczy ją ubrać...



- Wyszłam na ulicę. Odruchowo skierowałam kroki do przyjaciółki. Kamień młyński jest mniej pewny, gdy przywiążesz go do szyi. Ona była największą ogrodniczką moich stresów. Ty, Lula, mówiła, ty to rzeczywiście masz pecha... Nie wiem, co ja bym na twoim miejscu zrobiła? Ja bym ze sobą natychmiast skończyła. Więc ja dziś skończyłam z nią.

Zatem na imię ma – Lula. Lula ustawiła się teraz jak do fotografii paszportowej. Lewe ucho, znaczna część profilu, wzrok pod niewielkim kątem uniesiony ponad horyzont. Swoją drogą – wszystkie mięśnie i grymasy obojętnieją w tej pozie. Wcześniej tego nie zauważyłem.

- Zawróciłam. Wpadłam na jakąś kobietę, która szła tuż za mną. Przepraszam – zawołałam. To właśnie wtedy wpadł mi do głowy ten pomysł: Przepraszam panią, czy tą ulicą dojdę do centrum? Czy nie lepiej będzie pójść główną aleją? Zaczepiona kobieta, wyrwana z czeluści swojej uczciwości i niedoli, które penetrowała myślami, z trudem skupiła swoją uwagę na moim pytaniu. A, mam cię, pomyślałam. Nie, proszę dalej iść prosto, aż do światła - powiedziała. Hm... Jak bym sama nie wiedziała. Ale brnę dalej... A pani nie idzie do centrum? Nie, nie, ja do lekarza, tu za rogiem. A, rzeczywiście, tam jest przychodnia. A wie pani, to się dobrze składa, pójde z panią i umówię wizytę. Już jakiś czas temu miałam powiedzieć mojej lekarce, że te wszystkie okropne zmiany się cofnęły i czuję się jak nowonarodzona. Zauważyłam, że ona jakby się uśmiechnęła? O, to dobrze... I obie ruszyłyśmy przed siebie. Chcę pojechać na urlop, zagadnęłam natychmiast. I postanowiłam, że po tylu latach rutyny, zrobię wreszcie coś szalonego. Ona spojrzała na mnie z wyraźnym zaciekawieniem. Tam, w centrum, jest takie biuro turystyczne. Widziałam na zdjęciu piękną dziewczynę, w bikini na tle tak niesamowicie niebieskiej wody, że i w niebie podobnej nie mają. Parsknęła śmiechem. O, pani – mówię dalej – pani w takim bikini to na plakat by się nadawała. I delikatnie ujęłam ją pod ramię. Ona wzdygnęła się, ale po sekundzie poczułam już pewien ciężar, a więc oparła się na mnie... Co też pani mówi... Mam żylaki, krzywe nogi i ten wałek... Proszę pani, krzywe nogi najlepiej prezentują się na fotografii a odpowiednio ułożone - robią taki korkociąg z ciała, że faceci głupieją! Teraz zaśmiała się serdecznie i beztrudnie. A ja zamykałam już podwozie mojej bezpretensjonalności, wchodząc w lot szybujący. Musimy tam pójść razem, pokażę pani to zdjęcie. A może razem się na ten urlop wybierzemy? (Tak! Zatrzaśnęłam podwozie). Odpiełam pasy bezpieczeństwa i przez kolejne pół godziny opowiadałam jej o niej tak niestworzone historie, tak nieprawdopodobne sytuacje, a ona na moich oczach przeobrażała się w bohaterkę, gwiazdę i wybrankę losu. Szczęściarę!

Zrazu niewyraźnie, gdzieś w kąciach oczu, w ledwie dostrzegalnym drżeniu dłoni dostrzegłem jednak jakąś nienaturalność, niepewność, choć maskowała ją perfekcyjnie.

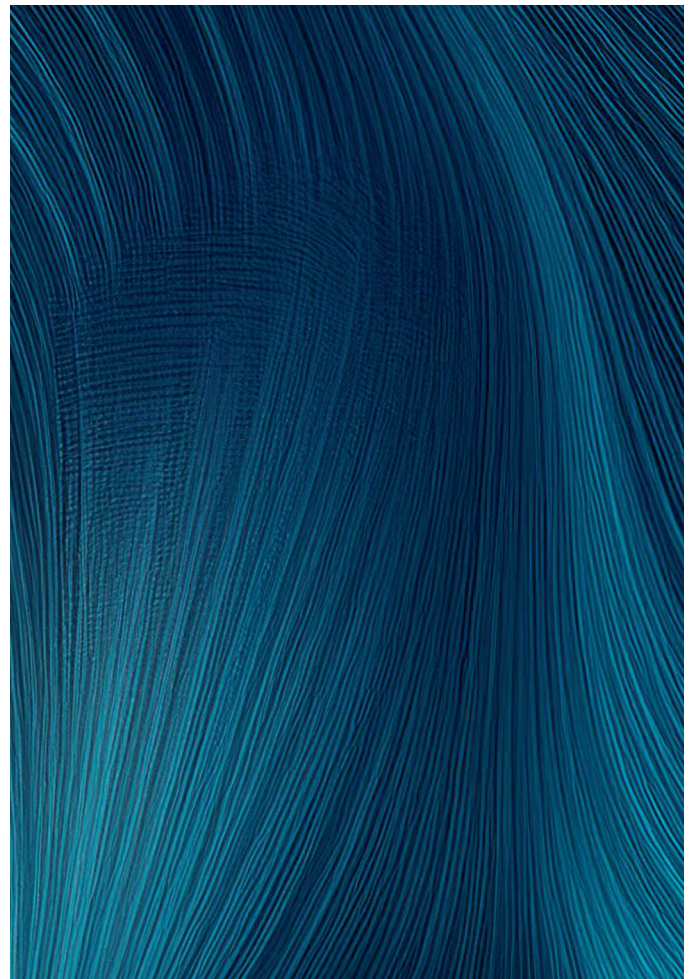
- Genialne, prawda? Jest tylko jeden problem. Pracuję nad nim. Jak okłamać samą siebie? Możesz zmienić swój wizerunek w oczach innych, przeobrazić się, pozować na człowieka wielkiego sukcesu, co w naturalny sposób innych ogrzeje, przyciągnie do wianuszka skupionego wokół ciebie. Ale jak w każdym piecu, ogień się w końcu wypala. Jego podsycanie jest proste – kolejne kłamstewko. Nic nie kosztuje, nie musisz go zamawiać, stać po nie w długiej kolejce. Po jakimś czasie – zaczynasz się zastanawiać – zaraz, kim ja jestem?

Twoja tożsamość jest jak ciało pokryte w całości tatuażami. Robisz piorunujące wrażenie, nie przestając być sobą, w której istnienie zaczynasz jednak już wątpić. Bo kłamstwo – jak joker w pokerze – zawsze bije każdy inny atut. Mój problem polega na tym – i z tą sprawą tutaj przychodzę – jak skłamać siebie bez reszty. Stać się naprawdę kimś innym. Uwierzyć, że nigdy nie byłam kimś tamtym, zakompleksionym i bezwartościowym. Lśnić, jak teraz, także w sobie, a nie tylko na zewnątrz. Może pan wie? Powie mi pan? Proszę, no przecież pan pewnie wszystko wie. Tutaj nie pracuje byle kto, prawda? Pan pewnie wiele czytał, był, spotykał się z różnymi ludźmi mądrymi... Pan taki spokojny, zrównoważony, każda kobieta przy panu czułaby się bezpieczna jak... calineczka w łupince orzecha... No, niech pan nie każe się prosić. A może pójdziemy napić się kawy? Tu pewnie jest gdzieś taka mała przytulna kawiarenka. Ja sobie usiądę w kąciku, a pan mi wszystko opowie. Albo nie, mam lepszy pomysł - idźmy od razu do mnie, zrobię panu herbatkę, mam odrobinę rumu. Aaaa... rum... – rozgrzewa, oj, rozgrzewa! O, chyba uśmiecha się pan, dobrze, dobrze.... Idźmy więc, proszę podać mi...

Zaczęła się rozglądać, jakby czegoś szukała. Odeszła na dwa kroki, schyliła się, podbiegła w drugą stronę biurka, ciągle się rozglądając. Minęła mnie i wtedy coś zaszeleściło za moimi plecami. Obejrzałem się, by sprawdzić, co to za odgłos? Kiedy znów spojrzałem przed siebie – jej już nie było...

Cały korytarz wypełniał już tylko aromat prawdziwego kłamstwa.

Uroczy...





W następnym numerze:

Szczecin malowany

po wystawie ze zbiorów
szczecińskich kolekcjonerów

Zabić festiwal

dekapitacja festiwalu
Sacrum Non Profanum,
dumy Marszałka, nieustannie
honorowego patrona imprezy

Kontrapunkt wskrzeszony?

nie, nieskutecznie
re-animowany

Sen nocy upiornie bezsennej

teatr nieodpowiedzialny

Żeglarstwo? A co to takiego?

żeglarstwo współczesne,
nowy dział archeologii?

W następnym numerze:

TVSiódemka

Internetowy miesięcznik niesformatowany

Redakcja: Marek Koszur

Opracowanie graficzne: Malgorzata Wowczak

Wydawca: MK NET - TV Siódemka, Adres: Pochyła 13/5, 71-745 Szczecin, Tel. 785 00 2222, 7@tvsiodemka.pl

Reklama i dystrybucja: Marta Jarecka